SCENA POLSKA
NEDERLAND
POOLS PODIUM

Holandia • Europa • Świat

Scena Polska.nl

nr 2(122)/2025

ISSN 1233-7633

- Kulturobranie 2025
- Smak i Kultura
- 50. FPFF w Gdyni

Polsko-niderlandzkie "Kulturobranie 2025" w Nowej Róży

21-24 sierpnia 2025

Nowa Róża 2, Gmina Nowy Tomyśl

W lesie bez barier i w Olenderskim klimacie: plener malarski, warsztaty filmowe, poezja i muzyka, wiklina, ozdoby kwiatowe i twórcze niespodzianki.

Wernisaż prac i prezentacja zbiorów uczestników Kulturobrania w niedzielę, 24 sierpnia.

hOlendry

Fundacja "hOlendry"

organizator: Fundacja "hOlendry"
e-mail: nowaroza2@gmail.com, tel.: +48 603 801 725

Partnerzy wydarzenia:

Zadanie dofinansowane ze środków:

Patronat Honorowy:

Zofia Schroten-Czerniejewicz
Redaktor Naczelna

Od redakcji

Nasza przyjaciółka, animatorka życia kulturalnego w Niemczech, miłośniczka teatru i poezji, częsty gość imprez organizowanych przez „Scenę Polską w Holandii", laureatka Wiklinowej Maski przyznawanej zasłużonym dla Pools Podium i współautorka kwartalnika przysłała do redakcji tekst zatytułowany Kartka z Niemiec. Poniżej dzielę się z Państwem tym tekstem, ciesząc się, że mamy Czytelników i te 30 lat nie poszły na marne. Dziękujemy!!!

Kartka z Niemiec

Chciałabym, w imieniu czytelników z Niemiec, tak bez patosu, za to szczerze i z wdzięcznością pogratulować redaktor naczelnej i całej redakcji, trzydziestu już lat wydawania czasopisma „Scena Polska"! To niesamowita skarbnica opowieści z życia Polonii, anegdot, reportaży, refleksji, poezji, sprawozdań ze wspaniałych wydarzeń i zaproszeń, na kolejne.

To utrwalone kadry z życia na emigracji dla nas ku pamięci i dla potomnych, by kontynuowali. Z całej mocy życzymy kolejnych Jubileuszy, bo: „Stajesz się odpowiedzialny na zawsze za to, co oswoiłeś" (- z „Małego Księcia" Antoine'a de Saint-Exupéry'ego), a Ty Zosiu stworzyłaś więź i wzięłaś odpowiedzialność, za te polonijne relacje.

I dlatego, wszyscy, którzy tworzycie to czasopismo, jesteście nam potrzebni, ważni i bliscy!

Joasia Duda Murowski

Dziękując autorce Kartki, zwracam się przy okazji do wszystkich Czytelników z prośbą o przysyłanie swoich uwag, opinii, refleksji, krótkich i dłuższych tekstów, które będziemy czytać, a wybrane w miarę możliwości publikować, aby wzmocnić te nasze relacje, o których tak pięknie napisała Joasia. Prosimy pisać na adres: poolspodium@gmail.com z dopiskiem Redakcja.

Zofia Schroten-Czerniejewicz

Strona internetowa: www.scenapolska.nl – ZAPRASZAMY!

Spis treści

Grażyna Gramza
„Scena Polska – pismo, które łączy" 4

Małgorzata Doszczak
Grażyna Barszczewska
„Kochany, najukochańszy…" 5

Anna Kos
André Brasseur – król organów
Hammonda i idol radiowych piratów 6

Jerzy Skoczylas
Czerwony dywan 7

Eugeniusz Brzeziński
Festwial „Media i Sztuka" w Darłowie 8

Małgorzata Lubbers-Dąbrowska
„Mosty pokoleń – Generatiebruggen".....9

Konrad J. Zarębski
Kwestie warsztatowe..... 10

Alicja Grygierczyk
Pies 12

Grażyna Gramza
Holandia w oczach Polki 12

Sztuka, terapia i magia teatru
– rozmowa Grażyny Gramzy
z Ingą Falkowską..... 13

Andrzej Skibniewski
Wina i czekoladki zapisane w DNA..... 14

Smak i Kultura w Dworze Skrzynki..... 16

Marek Grądzki
Sum sum corda! 18

Jubileuszowy 50. Festiwal Polskich Filmów
Fabularnych w Gdyni..... 18

Alek Silber
Kolonie 19

SCENA POLSKA |Nr 2(122)/2025 |ISSN 1233-7633

REDAKCJA: Zofia Schroten-Czerniejewicz i zespół.
WYDAWCA: Stichting Pools Podium, Tel. +31 (0) 621 564 177, e-mail: poolspodium@gmail.com
Stichting Pools Podium, **ABN AMRO Utrecht, IBAN: NL85 ABNA0 518544443.**
www.scenapolska.nl |www.facebook.com/scenapolska
ZDJĘCIA: Archiwum SPP
SKŁAD KOMPUTEROWY: Mariusz Mamet |Mac Map
OKŁADKA: Fot. archiwum SPP
DRUK: Drukarnia DS Marcin Witecki

„Scena Polska – pismo, które łączy”

Grażyna Gramza

Powstała w 1992 roku w Holandii Fundacja „Scena Polska” – Pools Podium, świętuje 30-lecie swojego kwartalnika, który ukazuje się nieprzerwanie od 1995 roku. Zwiastuny pisma pojawiły się rok wcześniej. Kwartalnik zastąpił drukowane programy teatralne i od początku miał na celu nie tylko informowanie o wydarzeniach kulturalnych, ale także budowanie więzi w polskiej społeczności. Jego pierwsze wydanie ukazało się dzięki inicjatywie Zofii Schroten-Czerniejewicz, założycielki Fundacji oraz wsparciu dziennikarki „Pol-Echa” Anny François-Kos. Cenne rady udzielał również Andrzej Niczyperowicz, sekretarz redakcji „Gazety Poznańskiej”. Do dziś prowadzi go Zofia Schroten-Czerniejewicz, dla której obok teatru, pisanie jest pasją.

Pierwszym wydawcą i sponsorem kwartalnika był Alojzy Kuca, twórca magazynu „Art & Business”. W 1996 roku „Scena Polska” trafiła do Drukarni Swarzędzkiej Stanisława i Marcina Witeckich, gdzie była wydawana w wersji papierowej przez kolejne dwie dekady. Od 2015 roku kwartalnik jest dostępny w wersji cyfrowej. Na stronie internetowej Fundacji można znaleźć zarówno bieżące, jak i archiwalne numery. Okazjonalnie ukazują się także wersje drukowane.

Na przestrzeni lat wokół „Sceny Polskiej” zebrało się grono pasjonatów i znawców kultury. Autorem wielu tekstów z najrozmaitszych dziedzin został Eugeniusz Brzeziński, będąc jednocześnie sekretarzem redakcji. Anna François-Kos, polonistka i dziennikarka mieszkająca w Belgii, od lat pisze o relacjach polsko-belgijskich oraz życiu Polonii w Beneluksie. O muzyce pisała Ewa M. Wagner, absolwentka Konserwatorium Katowickiego i członkini Orkiestry Filharmonii Radiowej w Hilversum, autorka powieści „Het Tristan Akkoord”.

Nie zabrakło także tekstów dotyczących języka i tradycji. Natalia Zweekhorst-Krüger popularyzowała polskie przysłowia, a Elżbieta Niemczuk-Weiss, lektorka na Uniwersytecie w Amsterdamie, dzieliła się swoją wiedzą o kulturze polskiej. W latach 2010–2014 w redakcji działała Agnieszka Steur, autorka książek dla dzieci i młodzieży, językoznawczyni. Jolanta Offierska-Kiwertz publikowała w kwartalniku od 1995 roku, a Alicja Grygierczyk, mieszkająca w Limburgii, od 1999 roku dzieli się swoimi codziennymi refleksjami. Wśród autorów znaleźli się także Yvonne Cichocki-Maréchal, była Konsul Honorowa RP w Heusden, oraz Jolanta van Grieken-Barylanka, korespondentka polskiego radia w Holandii, a także dziennikarz Marek Orzechowski, autor m.in. książki „Holandia. Presja depresji”. Swoimi spostrzeżeniami dzieliła się na łamach pisma dziennikarka radiowa Alina Dragan, znana z rozmów radiowych z Markiem Niedźwiedzkim.

Do zespołu należeli również tacy twórcy jak Hanna Bross-Kania, Alek Silber, Małgorzata Bielas, Grażyna Brzezińska, Grzegorz Staśko, Rein Bakhuizen van den Brink, Michał Otrębski i Juliusz Burgin. Podczas pandemii do redakcji dołączył Andrzej Skibniewski, autor książki „Bursztynowa Broszka”. Kwartalnik współpracuje także z korespondentami z Berlina, Göteborga, Sztokholmu i Nowego Jorku. Wśród autorów byli i są m.in. Andrzej Niczyperowicz, Marek Zaradniak, Krzysztof Wodniczak i Marek Grądzki. Przez lata felietony dla „Sceny Polskiej” pisali Jan Kaczmarek z kabaretu „Elita” oraz Krzysztof Daukszewicz, a do dziś swoimi zabawnymi, wierszowanymi obserwacjami otaczającej nas rzeczywistości dzieli się z nami Jerzy Skoczylas.

Kwartalnik od zawsze miał także miejsce dla poezji. Jedną z jego najważniejszych postaci była Wanda Sieradzka-–de Ruig, autorka niezapomnianego przeboju „Nie płacz, kiedy odjadę”. Po jej śmierci w 2009 roku powstała w czasopiśmie rubryka „Salon Poetycko-Muzyczny”, przypominająca jej twórczość i promująca nowych poetów. Wiersze publikowały także Ewa Wicha-Wauben, autorka tomików „Schijnbare werkelijkheid. Polderminiaturen” i „Landschap met reizigers” oraz Agnieszka Sadlakowska, której teksty można znaleźć zarówno w prasie, jak i na jej autorskiej stronie internetowej.

Przez trzy dekady „Scena Polska” przyciągnęła wielu autorów z różnych zakątków świata. Kwartalnik, choć wydawany po polsku, podejmuje tematy uniwersalne, łącząc miłośników polskiej kultury, teatru i literatury niezależnie od miejsca zamieszkania. ■

Spotkanie redakcyjne w 2008 roku: Eugeniusz Brzeziński, Ewa Wagner i Zofia Schroten-Czerniejewicz

Grażyna Barszczewska „Kochany, najukochańszy…”

Małgorzata Doszczak

11 maja zaszczyciła nas swoją obecnością w Utrechcie pani Grażyna Barszczewska z monodramem „Kochany, najukochańszy…”. Spektakl w reżyserii Magdy Umer, grany na co dzień w Tetrze Polskim w Warszawie, oparty jest na prozie Wiesława Myśliwskiego.

Scenariusz napisała sama Grażyna Barszczewska i niewątpliwie udało jej się utrzymać klimat tekstów Myśliwskiego. Bohaterka, Maria, przez całe życie pisze intymne listy do dawnego kochanka. Listy niewysyłane, niedoręczalne. Snuje w nich rozważania o swoim życiu, które według niej jest mocno niespełnione. Patrząc na nie obiektywnie wydaje się wręcz przeciwnie: Maria wykonuje z pasją wspaniały zawód (jest lekarzem pediatrą), ma męża, który jest dobrym człowiekiem, udaną córkę i wnuki. A jednak czegoś ciągle jej brakuje: tęskni za niespełnionym uczuciem z młodości. Pierwszą miłością nastolatki, zakończoną nieoczekiwanym zerwaniem. Miłością właściwie niezupełnie niespełnioną, bo przecież byli razem przez pewien czas. Maria została porzucona przez kochanka, który nie udźwignął odpowiedzialności za wspólne życie. Maria trzyma się swojego uczucia przez całe życie. I latami pisze do niego, choć wie, że jej listy nie zostaną przeczytane.

Te listy są więc raczej pamiętnikiem, w którym przeżuwa swoje życie, filozofuje, rozlicza się z teraźniejszością i ciągle od nowa z przeszłością. Jest w nich całkowicie szczera, poddaje wiwisekcji wszystkie swoje przeżycia. To rodzaj terapii, którą sobie sama prowadzi. Chociaż wydaje mi się, że mocno nieskutecznie. Bo Maria nie umie być szczęśliwa. Bo właśnie niespełnienie jest motywem przewodnim jej życia. Wydaje się silna, a czuje się słaba. Tę głębię skłębionych uczuć czujemy przez cały spektakl. Bo Grażyna Barszczewska jest mistrzynią takiej formy i takiej treści.

Pomaga jej scenografia: pustka, pojedyncze rekwizyty, wyświetlane w tle obrazy i pojawiająca się często mgła. Ciekawym zabiegiem jest też udział Andrzeja Seweryna w roli narzeczonego z przeszłości. Pojawia się jak widmo w wyobraźni bohaterki, czyli na ekranie i reaguje na jej listy snując refleksje o własnym życiu i wspólnej przeszłości. Czy są rzeczywiste czy wyobrażone? Tego nie wiem. Może nie rozumiem do końca Myśliwskiego. Tej poetyki bólu ciągnącego się przez wieczność.

Oglądając przedstawienie z jednej strony poddawałam się temu prądowi intymnej refleksji, a z drugiej nie mogłam się oprzeć myśli, że podejście Marii do życia strasznie mnie drażni. Mimo że sama uważam się za osobę sporo rozmyślającą i refleksyjną, trudno mi było zaakceptować to rozkminianie każdej chwili przez pryzmat wyidealizowanej przeszłości. A więc i ja doświadczałam sprzecznych emocji, z jednej strony chłonąc tę opowieść o sile miłości, a z drugiej czując własną, jakże odmienną tożsamość kobiety niezależnej, patrzącej do przodu i niepotrzebującej lustra w postaci mężczyzny.

Niestety nie udało mi się porozmawiać z Panią Grażyną po spektaklu. Szkoda, bo ciekawa jestem jej odczuć. Pod jej refleksyjnością zawsze czuję energię i siłę. ■

Grażyna Barszczewska fot. ZSCz

Teatr Kikker – na zakończenie publiczność śpiewa Sto lat Wiesławowi Myśliwskiemu. fot. K. Birlet

zaKS sprzyjamy wyobraźni

Podziękowanie dla Zarządu Funduszu Popierania Twórczości za wsparcie organizacji przestawienia pt. „Ukochany, najukochańszy” na podstawie powieści Wiesława Myśliwskiego w Utrechcie.

André Brasseur – król organów Hammonda i idol radiowych piratów

Anna Kos

Piractwo radiowe, czyli nadawanie programów bez wymaganych licencji, rozkwitło w Europie Zachodniej w latach 60. XX wieku. Najsilniej rozwijało się w Holandii, Szwecji, Danii, Francji i Wielkiej Brytanii – tam radiofonia publiczna nie nadążała za rosnącym apetytem słuchaczy na nowoczesną muzykę popularną. Najsłynniejszą piracką stacją była **Radio Veronica**, początkowo VRON (Vrije Radio Omroep Nederland), nadająca z latarniowca u wybrzeży Holandii od 6 maja 1960 roku przez 14 lat bez przerwy. Jej nazwa pochodzi od cyklu wierszy „Het schaap Veronica" („Owca Weronika") autorstwa poetki Annie M.G. Schmidt.

Z tym właśnie radiem związana jest międzynarodowa kariera belgijskiego klawiszowca **André Brasseur.** Urodził się **11 grudnia 1939 roku w Ham-sur-Sambre**. Jak wspomina, muzykę pokochał już jako dziecko: *„Kiedy w niedzielę zajadałem ciasteczka i słuchałem przyjaciółki wujka grającej Mozarta, myślałem tylko o muzyce i nadal o niej myślę – już od ponad 85 lat!..."*

Naukę gry na fortepianie i wiolonczeli rozpoczął w Akademii Tamines. W wieku 20 lat poznał perkusistę **Bruno Castellucciego** i basistę **Luca Streelsa**. Razem nagrali album *Exciting Blues*, sfinansowany przez sklep płytowy w Namur – jednak muzyka ta okazała się zbyt nowatorska dla ówczesnego radia publicznego.

W czasie służby wojskowej Brasseur dołączył do **Orkiestry Jazzowej Armii Belgijskiej**. W 1962 roku, podczas festiwalu jazzowego w Comblain-La-Tour, miał grać na pianinie, ale ostatecznie wybrał organy Hammonda – lżejsze i łatwiejsze do transportu. Wtedy się w nich absolutnie zakochał! Prawdziwe „coup de foudre! " I już tylko na tym instrumencie chciał grać. Niestety, kosztował fortunę (około 300 tys. franków belgijskich, wówczas równowartość Porsche!). Nie było go na to stać! Miał jednak trochę szczęścia, bo przyjaciółka żony dostała właśnie jakiś duży spadek i spontanicznie powiedziała mu: „ja ci to kupię! I kupiła – do dnia dzisiejszego gra właśnie na tym instrumencie. W Belgii nazywany jest królem Hammonda.

Od 1963 roku występował pięć wieczorów w tygodniu w „Pol's Jazz Club" w Brukseli. Przełom nastąpił w 1964 roku, gdy wytwórnia Palette Records poprosiła go o skomponowanie melodii. Tak powstał utwór *Early Bird*, który dzięki kilku „technicznym błędom" stał się światowym hitem. W 1965 roku jako **André Brasseur** wydał *Early Bird*

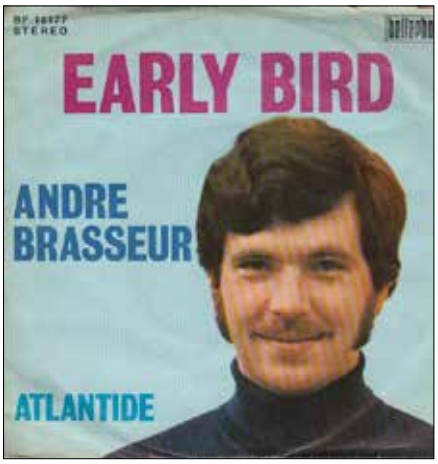

Satellite – przebój trwający zaledwie 2 minuty i 50 sekund sprzedał się w co najmniej 8 milionach egzemplarzy i konkurował na listach przebojów z Beatlesami. Do dziś uchodzi za jeden z największych belgijskich hitów instrumentalnych w historii.

Wkrótce powstał kolejny kultowy utwór: dwustronny singiel *The Kid/Holiday*. Choć nie trafiły na brytyjskie listy przebojów, utwory stały się popularne w kultowym klubie **The Twisted Wheel** w Manchesterze, mekce Northern Soul. *Holiday* wykorzystał w swoim programie w BBC Radio 1 znany prezenter **Noel Edmonds**, a DJ **Lex Harding** z Radio Veronica uczynił z *The Kid* sygnał otwierający swój popołudniowy program. Dzięki pirackim stacjom ta muzyka docierała do milionów słuchaczy w całej Europie. Zainteresowały się nią także inne stacje, takie jak francuska *Caroline* czy radio *Mi Amigo*.

Lata 60. i 70. były czasem największej popularności Andre Brasseur. Wydał setki utworów, współpracę proponował mu James Brown i Claude François. Współtworzył wspólnie z Roger Morès ścieżkę dźwiękową do filmu *Cash!*. Ten erotyczny film zaprezentowany został po raz pierwszy na festiwalu Cinemamanifestatie w Utrechcie w lutym 1968 r. i grany był jednocześnie w 12 holenderskich miastach. W 1969 roku jego utwór *Waiting For You* stał się motywem przewodnim programu telewizyjnego *Indoor League* w telewizji Yorkshire. Polubiła go także telewizja publiczna. Jego kompozycje były motywami przewodnimi licznych programów takich jak np. *„Special 230"* w „Intervilles" w RTB czy *„Pursuit"* w Europe I.

Równolegle inwestował zarobione pieniądze w kluby nocne: **Le Pow Pow** w Harsin, **La Locomotive** w Barbençon oraz **L'Auberge du Cheval Blanc**. Sukces klubów stał się dla niego pułapką – muzyka zeszła na dalszy plan, a on sam poczuł się bardziej właścicielem bistro niż muzykiem. Przepracowany, jak mówi pewnego dnia nie zdołał nawet wejść do własnej dyskoteki i… w 1985 roku rozstał się ostatecznie z biznesem rozrywkowym.

W latach 90. jego kariera przygasła – grywał głównie w hotelach i restauracjach, cztery do pięciu dni w tygodniu przez kilkanaście lat. „Miałem dość..." – przyznaje. Współpracował jednak z młodymi muzykami – na dwóch płytach m.in. z Vaya Con Dios.

Renesans popularności nastąpił na początku XXI wieku. W 2005 roku DJ **Ricky Fox** przywrócił go na antenę stacji Contact+. Niedługo potem wrócił na trasy koncertowe. W 2016 roku wystąpił na **Pukkelpop** jako najstarszy artysta tego znanego flamandzkiego festiwalu, otoczony młodymi muzykami. Występ na Pukkelpop był prawdziwą sensacją— a jego stare organy Hammonda nadal brzmiały bezbłędnie (*„kropla oliwy raz w roku!”*). Wydana w tym czasie przez wytwórnię **Sdban Records** kompilacja *Lost Gems from the 70s* (podwójny album: hity i rzadkości) osiągnęła 2. miejsce sprzedaży we Flandrii.

Dziś, po przeszło 60 latach kariery, 600 nagranych utworach i 17 milionach sprzedanych płyt, André Brasseur wciąż gra – na tych samych ukochanych organach Hammonda, które kupiono mu w 1963 roku. Jego wpływ na muzykę instrumentalną jest niepodważalny – obok mistrzów jazzu, takich jak Jimmy

Autorka i André

Smith czy Jimmy McGriff, jest ikoną brzmienia organów Hammond B3.

I choć mógł być wielką gwiazdą, zawsze wolał iść własną ścieżką. I dobrze – bo dziś znów jest odkrywany przez młodsze pokolenia fanów funku, soulu i instrumentalnego groove'u. Radio Veronica, Radio Caroline, telewizyjne programy belgijskie, angielskie, niemieckie – uczyniły z jego melodii nieśmiertelne sygnały dźwiękowe.

Ma dwóch synów (Jean-Pierre i Patrick) i liczne grono wnuków, które uwielbia. Na początku tego roku nagrał nowy utwór zatytułowany *Victoria*, który poświęcił jednej z wnuczek. Mieszka w Wépion, niedaleko Namur. Jak sam mówi: *„Mam w głowie jeszcze jakąś dziesiątkę utworów, które zamierzam wkrótce nagrać.”*

André Brasseur to żywy przykład artysty, który dzięki talentowi, uporowi i... pirackiemu radiu na zawsze zapisał się w historii europejskiej muzyki instrumentalnej. A co najważniejsze — muzykę kocha tak bardzo, że gdziekolwiek się pojawi, jeśli tylko zobaczy instrument, nie może się powstrzymać: siada i gra. Tak dzieje się i w moim domu — wystarczy, że André spojrzy na pianino, a natychmiast przy nim siada i z pasją daje koncert, ku mojej radości i zachwytowi moich gości.

Dziękuję, André, za te wszystkie niezapomniane, prywatne koncerty!

Anna Kos

Czerwony dywan

Jerzy Skoczylas

Po czerwonym dywanie w Łodzi czy Hollywoodzie
majestatycznie kroczą sławni i znani ludzie.
Idą gwiazdy stawiając sztuczne, wymyślne kroki,
ikony powodzenia, giganci swej epoki.
Wykwintne makijaże, lica czerwonouste,
kreacje z niepokornym, nieposkromionym biustem,
a obok gwiazd gwiazdorzy w jedwabiu garniturów
suną wolno z torsami godnymi dzikich turów.
Urodę demonstrują przy rozświetlonej ściance
serwując reporterom stopklatki i łamańce.
Błyskają flesze kamer, cisną się paparazzi,
brylują prezenterzy telewizyjnych stacji.
A każda z gwiazd z atencją uśmiecha się do gości
i szczerzy uzębienie ku tłumnej publiczności,
która procesję śledzi, a liczne jej szpalery
od gwiazd są odgrodzone skutecznie przez bariery.
Zza barier wielbicielka przemyślnie odgrodzona
zerka ku gwieździe myśląc, chciałabym tak jak ona.
przechadzać się wśród fleszy od świtu aż do zmierzchu
mieć dekolt aż do pępka, co trzeba mieć na wierzchu,
kursować limuzyną i mieszkać w super willi,
opalać się na plażach Florydy czy Sycylii,
rozdawać autografy, w kreacjach modnych chodzić
i średnio raz do roku dla draki się rozwodzić.
Wywiady mieć w gazetach, co zimę futro nowe,
programy w telewizji, najlepiej śniadaniowej....
Zaś gwiazda na dywanie dostrzegłszy tę dziewczynę
duma, ta to ma dobrze, ma tak beztroską minę,
nie tonie w morzu stresów i myśli złych pogoni,
nie martwi się co będzie, gdy agent nie zadzwoni,
nie musi, żeby zasnąć, co wieczór łykać prochów,
mieć nerwic i wypalać dwóch paczek papierochów.
Nie drżeć, że na castingu prześcignie ją niezdara,
a ona, choć zdolniejsza, odpadnie bo za stara.
I może na balangę z przystojnym pójść frajerem,
a nie do łóżka z grubym, leciwym reżyserem.
Nie musi w alkoholu nagłego topić żalu
gdy nie dostanie roli w teatrze lub serialu....
A ja, spoza bariery, spoglądam na to wszystko
i choć mnie średnio bawi to całe widowisko,
to dręczy mnie dylemat, bo nie wiem, będę szczery,
po której stronie lepiej znaleźć się tej bariery.

Festwial „Media i Sztuka” w Darłowie

Eugeniusz Brzeziński

Książka „Jak zdobywaliśmy Pomorze” miała być – i chyba była – przysłowiową wisienką na torcie na darłowskim Festiwalu Media i Sztuka, który miał miejsce w Darłówku w dniach 9 – 13 lipca 2025. Była to już 13-ta edycja tego wydarzenia, które staje się czymś ważnym na mapie kulturalnej polskiego lata.

Książka ta nie jest bynajmniej laurką z okazji 80 rocznicy zdobycia miasta Darłowa przez radzieckie i polskie jednostki w pierwszych miesiącach 1945 roku. To zbiorowa praca sześciorga prawdziwych tuzów reportażu: Artura Domosławskiego, Magdaleny Grzebałkowskiej, Marty Grzywacz, Cezarego Łazarewicza, Ewy Winnickiej i Michała Wójcika. Książka składa się z sześciu części, z których połączenia wyłania się obraz tamtych dni, kiedy to na wskroś niemieckie Rügenwalde stało się „odzyskanym”, polskim Darłowem. Mamy tu więc historię przesiedlanych (a faktycznie zmuszanych do wyjazdu) Niemców i osiedlanych (a faktycznie zmuszanych do opuszczenia swoich rodzinnych stron, głównie na Wschodzie) Polaków. Nie sposób, czytając tę książkę, nie zadumać się nad losem tych ludzi – ofiar, ale i sprawców oraz politycznych decyzji. Do tej pory bardzo mało wiedzieliśmy o tym, że te tzw. Ziemie Odzyskane nie mają właściwie historii sprzed 1945 roku. Te miasta i miasteczka straciły pamięć, nie mają wspomnień pokoleń je od wieków zamieszkujących; wszystko tam „zaczęło się” w 1945 roku. Na Festiwalu pięknie mówili o tym wszystkim autorzy książki, wspominając przy okazji także tak ważne dla tych regionów prace jak choćby „Odrzania” Zbigniewa Rokity.

Lista gości i wydarzeń Festiwalu wypełniłaby zapewne większą część naszego Kwartalnika, bo działo się tam od rana do wieczora, każda godziny była wypełniona, czasem były dwie atrakcje jednocześnie, a ogromny namiot festiwalowy pękał w szwach. Zapewne tegoroczne polskie lato wyganiało wczasowiczów z plaż i deptaków, ale chyba nie oddaję sprawiedliwości tym wszystkim, którzy tam byli z czystej ciekawości i radości spotkania znanych z mediów osób. Wymienić niektórych tylko byłoby chyba niesprawiedliwością w stosunku do znakomitej reszty. Więc może tylko tych, na spotkaniu z którymi sam byłem? Katarzyna Błażejewska-Stuhr i Maciej Stuhr, Adam Wajrak, Antoni Dudek (w rozmowie z Magdaleną Rigamonti i C. Łazarewiczem), Adam Zadworny (autor świetnej książki-reportażu o zatonięciu promu „Heweliusz”), b. ambasador USA Mark Brzezinski (zbieżność nazwisk, niestety, przypadkowa), Jakub Żulczyk (w rozmowie z Justyną Sobolewską), Joanna Szczepkowska, Magda Umer, Łona… Czyż nie imponujący to zestaw nazwisk. A było ich naprawdę znacznie więcej i mogłem przesiedzieć w tamtym namiocie calutkie trzy dni, a i tak wszystkiego bym nie zobaczył.

A w piątek wątpliwego raczej uroku dodał imprezie najprawdziwszy…sztorm. Bałtyk oszalał, fale wdzierały się głęboko na plażę, na której rozstawiony był namiot, którym to rzucało na wszystkie strony, grożąc odfrunięciem w nieznane. Ten na szczęście wytrzymał, w dodatku sprawił, że opowieść o katastrofie „Heweliusza” otrzymała jakąś dodatkową, wręcz przerażającą chwilami, oprawę akustyczną.

I jeszcze taka uwaga. Nie trzeba może spędzać lata w Darłówku (no chyba, że lubi się tłumy gęsto wypełniające deptak – kiedy pogody nie ma, a plażę – kiedy jest), ale na pewno warto tam zajrzeć podczas Festiwalu Media i Sztuka. W przyszłym roku w lipcu będzie jego kolejna edycja.

A wracając z Darłowa przez Gdańsk nie mogliśmy nie zboczyć trochę z trasy, żeby zobaczyć na własne oczy to, co tak bardzo ostatnio wzburzyło naszą prawicę i samego miłościwie nam panującego Pana Prezydenta: wystawy w Muzeum Gdańska pt. „Nasi chłopcy. Mieszkańcy Pomorza Gdańskiego w armii III Rzeszy”. Bo ta podobno szkaluje Polaków, gloryfikuje Niemców, wypacza naszą bohaterską historię, itp. itd. Oczywiście, jak zwykle w takich wypadkach, najwięcej do powiedzenia mają ci, którzy wystawy nie widzieli. Ja widziałem i zapewniam, że nikogo ani nie gloryfikuje ani szkaluje, historii nie wypacza, żadnych faktów historycznych nie przekręca. Po prostu pokazuje coś, co jest absolutnie nieodłączną częścią naszej – polskiej – historii. A już na pewno tej części Polski, która dzisiaj jest naszym Pomorzem, Mazurami czy Śląskiem. Nie widziałem tam niczego obrazoburczego, niczego szokującego, niczego „wołającego o pomstę do nieba”. Szkoda, że Pan Prezydent – nie pierwszy zresztą raz – wydaje swoje zdecydowanie negatywne sądy bez zapoznania się z opiniowanym materiałem. Widocznie tak ma. A wystawę naprawdę warto obejrzeć. I zamyślić się nad skomplikowanym losem naszych przodków.

Od lewej: Cezary Łazarewicz, Marta Grzywacz, Ewa Winnicka, Michał Wójcik, Magdalena Grzebałkowska, Artur Domosławski

„Mosty pokoleń – Generatiebruggen”

– Polska Szkoła w Bredzie i Roosendaal ma nowego patrona!

Małgorzata Lubbers-Dąbrowska

21 czerwca 2025 roku w Memoriale gen. Stanisława Maczka w Bredzie odbyła się wyjątkowa uroczystość – Polska Szkoła w Bredzie i Roosendaal oficjalnie otrzymała imię 1. Dywizji Pancernej generała Stanisława Maczka. Wydarzenie odbyło się pod symbolicznym hasłem: „Mosty pokoleń – Generatiebruggen”.

Dzień rozpoczął się uroczystym zakończeniem roku szkolnego w Bredzie. Uczniowie odebrali świadectwa, dyplomy oraz drobne upominki z rąk nauczycieli, pani konsul generalnej Katarzyny Smoter i prezes Forum Polskich Szkół w Holandii Agnieszki Lonskiej. Po oficjalnym zakończeniu zajęć dzieci odbyły ostatnią próbę przed występami w Memoriale, a dorośli – w tym goście honorowi – zwiedzili budynek szkoły, mieszczący się w International School Breda. Szkołę pokazała gościom sama dyrektor szkoły ISB, Vibeke Asbjornsen. Około południa cała społeczność szkolna, wraz z zaproszonymi gośćmi, udała się do Memoriału Generała Maczka, by wziąć udział w głównej części wydarzenia. Uroczystość zgromadziła wielu znakomitych gości z Polski, Belgii i Wielkiej Brytanii oraz dzieci i wnuki żołnierzy Maczka. Dzieci ze szkoły wystąpiły we wzruszającym programie artystycznym oraz złożyły uroczyste ślubowanie. Mary Jaworski, założycielka szkoły, podzieliła się historią szkoły i jej początkami, sięgającymi 1997 roku. Kulminacyjnym momentem było oficjalne nadanie szkole imienia 1. Dywizji Pancernej gen. Stanisława Maczka. Po krótkim przemówieniu wiceburmistrza miasta Jeroena Brruijns symboliczny znak pancerniaków przekazali harcerze z Bredy, przyjmując szkołę do swojej „rodziny”. Dzieci, Janek i Madzia wyczarowały flagę z nowym logo szkoły. Wspólnie odśpiewano hymny Polski i Holandii, przy akompaniamencie pianisty Mosa Mosqueiry – wolontariusza Memoriału. Po części oficjalnej organizatorzy zaprosili wszystkich gości na rodzinny piknik pełen atrakcji. Były zabawy dla dzieci, dmuchańce, budowanie „mostów pokoleń” z klocków LEGO, stoiska z domowymi wypiekami i polskimi przysmakami, pokaz grupy rekonstrukcyjnej „Breda 1944” oraz bazarek wspierający akcję „Paczka dla Bohatera”.

To był radosny dzień, pełen wzruszeń, wspomnień i refleksji – ale przede wszystkim był to czas spotkań i budowania mostów: Polaków z Holendrami, przeszłości z teraźniejszością, języka polskiego z niderlandzkim. Towarzyszyła nam atmosfera serdeczności, współpracy i przyjaźni, która łączy pokolenia i kultury.

Polska Szkoła w Bredzie i Roosendaal zaprasza na zajęcia po wakacjach!

- Zajęcia odbywają się w budynku International School Breda, Mozartlaan 35 w Bredzie w soboty w godz. 10.00–13.00. Oferujemy lekcje języka i kultury polskiej dla dzieci i młodzieży oraz kursy języka polskiego i niderlandzkiego dla dorosłych.

Prezentację z uroczystości można obejrzeć ponownie – link znajduje się na stronie szkoły www.psbreda.nl

Kwestie warsztatowe

Konrad J. Zarębski

Maciej Stuhr fot. materiały prasowe

Historia aktorstwa filmowego jest krótsza niż sama historia kina, kończącego w tym roku 130 lat (jeśli liczyć od pokazu kinematografu braci Lumière). Przecież na początku film nie potrzebował aktorów, liczył się ruch. Potem Georges Méliès postawił na fabułę – i wygrał.

Pierwsi aktorzy filmowi byli jak pionki na szachownicy, jeśli mieli coś znaczyć zapraszano aktorów z teatru – w końcu w powszechnym odbiorze film w tamtych czasach był sfilmowanym teatrem. Gdzieś około roku 1910 kamera filmowa zaczęła się ruszać – na boki oraz do przodu i do tyłu. Wtedy okazało się, że aktor teatralny (a więc grający do ostatniego rzędu) na ekranie wygląda jak pajac. Zmieniła się aktorska ekspresja i charakteryzacja, grymasy zastąpiła mimika, mocno podkreślane rysy ustąpiły miejsca delikatniejszemu makijażowi. A na koniec pojawił się dźwięk – jeszcze niedoskonały, nagrywany prymitywnym sprzętem wprost na planie filmowym. Nawet ci aktorzy, którzy zdołali się przystosować do ewoluujących warunków planu filmowego, mogli nie wytrzymać próby mikrofonu. Mnóstwo gwiazd musiało odejść, część zaczekała na doskonalszą technikę, inni odeszli na zawsze. A jeszcze inni – jak Gloria Swanson, pamiętna Norma Desmond z „Bulwaru Zachodzącego Słońca" – wrócili po latach, spełniając się w telewizji, która z czasem wyparła tzw. kino klasy B.

***

Ostatni wielki przewrót w dziedzinie aktorstwa kinowego miał miejsce w połowie lat 50. XX wieku. Wtedy na ekranie pojawili się: neurotyczny, a więc jakby naturalny, James Dean i niezwykle zmysłowa, wręcz cielesna Marilyn Monroe. Od tej pory każdy przed kamerą mógł zachowywać się jak chciał, byle był przekonujący, i pokazywać co chciał, byle trzymać się obyczajowej normy. A że wkrótce okazało się, że to właśnie kino kształtuje normy, wszystkie chwyty okazały się dozwolone. Do tego stopnia, że pod koniec lat 60. XX wieku upadł osławiony Kodeks Haysa w USA, zaś w latach 70. w Europie zniesiono cenzurę obyczajową (stopniowo – środkowa część kontynentu musiała czekać na upadek Muru Berlińskiego).

Na czym więc polega aktorstwo filmowe? Znajomy z branży twierdzi, że na planie wystarczy być. Ale Maciej Stuhr natychmiast zaprotestuje: „być też trzeba umieć! ". Dlaczego powołuję się na autorytet młodego Stuhra? To proste: kiedy w 2014 ówczesny rektor Akademii Teatralnej w Warszawie, Andrzej Strzelecki, zaprosił go do współ-

„Milczenie polskich owiec", Eliza Rycembel, reż. Maciej Stuhr fot. materiały prasowe

„Błazny", Magdalena Dwurzyńska i Justyna Litwic fot. materiały prasowe

pracy, pan Maciej długo się zastanawiał, co może zaproponować studentom. W końcu wpadł na pomysł genialny w swej prostocie. Otóż będzie uczyć aktorstwa filmowego. Bo w polskich szkołach teatralnych, państwowych i prywatnych, takiego przedmiotu jeszcze nie było. Wprawdzie wiele placówek obiecywało przygotowanie do pracy na planie filmowym, ale nikt wcześniej nie podszedł do tego tak jak Maciej Stuhr.

Na pierwsze zajęcia zaprosił operatora filmowego, ustawił światła i kamerę i posadził przed nią studenta, który miał się wsłuchiwać w monolog wygłaszany za jego plecami przez koleżankę. Trochę czasu (i prób) upłynęło, zanim młodzian przed kamerą zrozumiał, że operator rejestruje każdy ruch jego twarzy, że ma nie tylko słuchać, ale i reagować na to, co słyszy. A kiedy dotarło to do wszystkich, Stuhr sięgnął po cięższą artylerię. W pierwszym roku ćwiczył młodzież na scenach wyjętych z „Dekalogu", w drugim – na kultowym scenach z filmów amerykańskich. Materiał wyjściowy doskonały, ale z jedną wadą – prawną. Nagranych scenek nie można upublicznić bez złamania praw autorskich, z drugiej zaś strony przyznać trzeba, że rezultaty, jakkolwiek obiecujące, nie dawały podstawy, by sięgać po środki na zakup praw (horrendalne, zważywszy materiał wyjściowy).

***

Aż przyszedł rok 2017 i Maciej Stuhr zaprosił swoich studentów na profesjonalny plan filmowy. Film nosi tytuł „Milczenie Polskich Owiec" i jest do obejrzenia na platformie YouTube.com. Trwa około 40 minut, rozgrywa się w lokalu, do którego zaglądają różni ludzie, by załatwić różne sprawy – osobiste, służbowe, biznesowe, branżowe. Na ekranie grono młodych – już wówczas dobrze znanych widzom jak Eliza Rycembel – po absolutnych debiutantów – w rozmaitych słodko-gorzkich układach, od komediowych po budzące (umiarkowaną) grozę. Niezwykle ciekawe doświadczenie. A potem już poszło – co roku półgodzinny film z udziałem studentów, wspomaganych czasem przez doświadczonych aktorów – pedagogów Akademii Teatralnej, która te tytuły finansuje. A w roku 2022 powstała „Marta Grall" (też na YouTube.com) – już ponadgodzinna refleksja na temat kryzysu uchodźczego, poważny dramat psychologiczny z udziałem Macieja Stuhra w roli psychologa (to drugi zawód aktora, przed szkołą teatralną uzyskał dyplom na Wydziale Psychologii UJ).

***

Na podobny eksperyment zdecydowała się też Gabriela Muskała – wybitna aktorka, a także scenarzystka i – o czym niewielu wie – dramatopisarka, wystawiana nawet w Teatrze Narodowym („Daily Soup" z Danutą Szaflarską i Januszem Gajosem, 2012). „Błazny" – o ten film chodzi – powstały w łódzkiej Filmówce, na Wydziale Aktorskim, i są opowieścią o studentach przygotowujących się do spektaklu dyplomowego pod kierunkiem znanego reżysera (w rzeczywistości był to spektakl dyplomowy roku prowadzonego przez Muskałę).

***

Na pozór to film o dojrzewaniu młodych, znajdujących się o krok od pierwszych życiowych decyzji. Ktoś marzy, by zostać wielkim aktorem i w myślach konfrontuje się z czołowymi postaciami polskiej sceny i filmu. Drugi widzi w aktorstwie sposób na przeżycie atrakcyjnej młodości, zaprawionej seksem i narkotykiem. Inni stają wobec trudnych wyzwań – choćby kontakt ze znanym inscenizatorem obezwładnia ich, wręcz paraliżuje. Całość zanurzona jest w tym, czym żyje dziś polskie środowisko aktorskie, pełne bulwersujących anegdot(?) o reżyserach nadużywających swej władzy czy wręcz perwersyjnych przemocowcach. A na stres wywołany zbliżającym się spektaklem nakładają się inne sprawy, właściwe dla ludzi w wieku młodych bohaterów – przyjaźnie, miłości, zazdrości i rywalizacje. Zwłaszcza że spektakl budowany jest wobec dwóch kluczowych wątków – biblijnych Kaina i Abla oraz wysnutych z dramatu Słowackiego Aliny i Balladyny. Emocje sięgają zenitu, granice między rzeczywistością i fikcją zacierają się, w ręce młodego aktora pojawia się nóż. Nie ma nic pewnego – do tego stopnia, że finał, który rozgrywa się na progu gabinetu dyrektora teatru, może być zarówno gorzkim żartem płatanym przez wyobraźnię, jak i spełnieniem marzeń.

***

„Błazny" trafiły do szerokiej dystrybucji. Trudno powiedzieć, w jakim stopniu ten film zaważy na losach występujących w nim młodych aktorek i aktorów. Ale warto zauważyć, że dzieło Gabrieli Muskały zostało dostrzeżone przez Polską Akademię Filmową – debiutująca tym tytułem reżyserka została nominowana do nagrody za objawienie roku.

Gabriela Muskała fot. materiały prasowe

Pies

Alicja Grygierczyk

Wakacje w Polsce. Upragnione spotkania z bliskimi. Pomimo że nie widzieliśmy się cały rok, mam wrażenie jakby tej przerwy w ogóle nie było. Doświadczam tego tylko z osobami które znam z dzieciństwa i wczesnej młodości. Towarzyszy temu uczucie komfortu, bezpieczeństwa i jakiegoś ukojenia. Z Ewą jestem umówiona wcześnie rano. Jej ulubionym sposobem na spędzanie wolnego czasu jest zwiedzanie Polski na piechotę. Moim ulubionym sposobem na spędzanie wolnego czasu jest zwiedzanie na piechotę Holandii. Ewa to nie tylko wspólne spacery, to też nie kończące się rozmowy o przeczytanych książkach, obejrzanych filmach, sztukach teatralnych, o polityce i o życiu. Jest jak mądra książka z nigdy nie kończącymi się stronami. Rzadko spotyka się takich ludzi. O godzinie dziewiątej, o której byłyśmy umówione, otwieram furtkę do jej ogrodu, widzę ją stojącą przed domem.Uśmiecha się do mnie. Macham do niej, ale moją uwagę przyciąga jej pies, który głośno szczekając biegnie w moja strone i... gryzie mnie w noge. Ewa, on mnie ugryzł – mówię lekko przestraszona. Z twarzy Ewy nie znika uśmiech. – No wiesz, to jest jego teren, ty jesteś dla niego obca. – Co tu się dzieje? – pytam samą siebie. Jej pies nie przestaje szczekać i znowu gryzie mnie już tak mocno, że prawie płaczę. – Ewa on mnie znowu ugryzł, zrób z nim cos! – Ale co ja mam z nim zrobić, to jest jego teren – mówi i cały czas lekko się uśmiecha. Idziemy w kierunku domu. – Jestem zła na ciebie – mówię. Żadnej reakcji. Znika w kuchni i po chwili przynosi mi album jej autorstwa, "Ceramika na ziemi tarnowskiej". Album jest imponujący. Niektóre mozaiki to prawdziwe dzieła sztuki. Są w kościołach, kapliczkach, na domach kultury, budynkach szkolnych. Niesamowite, jestem stąd, ale żadna z tych mozaiek nie wpadła mi dotąd w oko, a są naprawdę piękne. Idziemy na spacer. Po raz pierwszy nie czuję bliskości i radości, które zawsze towarzyszyły mi podczas spacerów z Ewą. Rozmawiamy, ale wokół mnie tworzy się mur, którego wcale nie chcę, słowa padają gdzieś obok, staję się nieobecna. Wieczorem piszę do niej, że chciałabym zrozumieć to, co się wydarzyło. Odpisuje, że jej pies bronił swojego terenu, a ja byłam dla niego obcą osobą. Podobno wszystko co spotyka nas w życiu, jest po coś. Ale jaki sens ma to wydarzenie?? Czego ma mnie nauczyć? Nie spotykamy się już tego lata. W Holandii, pierwsze kroki po przyjeździe skierowuję do Hannah. Jak zwykle słucha mnie bardzo uważnie, a następnie pyta: – Co teraz czujesz? – Złość, żal, rozczarowanie, smutek. – Która z tych emocji jest najbardziej bolesna? – Żal. – Dlaczego? – Bo była moją przyjaciółką, kimś bardzo mi bliskim. – Była? – w głosie Hannah słyszę naganę. – Hannah, czy ty słuchałaś co ci opowiadałam? Słyszałaś jak absurdalnie się Ewa zachowała? – Absurdalnie – Hannah przeciąga to słowo, kładzie na nie nacisk – to ją rozgrzesza – mówi. – Co?? – jestem zaskoczona tym, co mówi, a jednocześnie cała zamieniam się w słuch, bo już wiem, że zaraz usłyszę coś, na co nigdy nie patrzyłam w ten sposób. – Jest świetną matematyczką, wybitny umysł ścisły, prawda? – pyta Hannah – Zgadza się. – I pewnie kocha swojego psa. – Jest zwariowana na jego punkcie. – Absurdalność tego wydarzenia pokazuje, że Ewa nie zna samej siebie – mówi Hannah – stąd ten jej uśmiech, brak wytłumaczenia, brak słowa przepraszam. – Jest bardzo inteligentna.

– To o niczym nie świadczy, może być zablokowana emocjonalnie. Śmiem twierdzić, że tak jest. Każdy człowiek jest swoistą zagadką. Problem w tym, że jesteśmy zagadką również dla siebie – mówi Hannah.

Następnego dnia znajduję w skrzynce kartkę od niej ze słowami: „Bo nigdy tak naprawdę nie będziemy w stanie zrozumieć drugiego człowieka. Możemy jedynie próbować, szukając po omacku drogi przez tunele, starając się oświetlić je pochodnią" – Lauren Oliver

Parę dni pózniej piszę do Ewy. Piszę, że bardzo nie chciałabym, żebyśmy się oddaliły od siebie. Ewa odpisuje: „kocham cię nadal ze wszystkimi twoimi wadami i zaletami i nie sądzę, żeby jeden incydent mógł to zmienić. Czasami robimy coś, czego pózniej sami nie rozumiemy, dlaczego tak zachowaliśmy się. Cenię ludzi takich jak ty, którzy potrafią to zrozumieć"

Nie dziwię się już niczemu i nie próbuję „dzielić włosa na czworo". Czuję ulgę i lekkość spowodowaną świadomością, że to wydarzenie tego lata było mi potrzebne.

Tak niewiele trzeba, żeby zamknąć serce i również niewiele, żeby je otworzyć. ■

Lektura na lato

Holandia w oczach Polki

Grażyna Gramza

„Holandia bez tajemnic! Kultura, zwyczaje i tradycje" to książka napisana z myślą o Polakach mieszkających w Niderlandach – z potrzeby zrozumienia i przybliżenia lokalnych realiów. Jej autorka, Kamila de Jager-Andrukiewicz, od lat aktywnie działa na rzecz integracji migrantów, dzieląc się wiedzą o holenderskim systemie prawnym, finansach oraz ucząc języka niderlandzkiego. Na co dzień pracuje w haskim urzędzie miejskim, gdzie wspiera szczególnie migrantów w ich sprawach prawno-finansowych – doskonale zna więc codzienne wyzwania, z jakimi mierzą się Polacy w Holandii. W życiu prywatnym wychowuje dwójkę dzieci w rodzinie dwukulturowej – łącząc polskie korzenie z holenderską codziennością.

Na 160 stronach czytelnicy znajdą odpowiedzi na pytania, które często pojawiają się w codziennym życiu: Dlaczego Holendrzy tak cenią bezpośredniość? Co wypada przynieść na parapetówkę? Czy *niksen* naprawdę oznacza robienie... niczego? I co dokładnie świętuje się w Dzień Króla?

Kamila z humorem i empatią pisze o tym, jak odnaleźć się w codziennych kontaktach z Holendrami, zrozumieć ich styl komunikacji i poczucie humoru. W szczególności pokazuje, jak rozpoznać i odczytywać drobne, ale znaczące nawyki kulturowe – te, które nie są zapisane w żadnym poradniku, a jednak każdy Holender zna je od dziecka. Dzięki przystępnemu językowi i trafnym obserwacjom książka sprawdzi się zarówno jako przewodnik dla nowo przybyłych migrantów, jak i jako inspirująca lektura dla tych, którzy już

od dłuższego czasu mieszkają w Niderlandach i chcą lepiej zrozumieć kraj, w którym żyją.

Pomaga nie tylko zrozumieć drugą stronę, ale też poczuć się tu trochę bardziej u siebie.

Książkę można zamówić online na stronie www.holandiabeztajemnic.nl, a także znaleźć w wybranych lokalnych księgarniach i polskich sklepach na terenie Holandii.

Na koniec dodam, że Kamilę można poznać na spotkaniach autorskich, o których informuje na w/w stronie.

Polecam lekturę i zachęcam do spotkań!

Sztuka, terapia i magia teatru

– rozmowa z Ingą Falkowską

Grażyna Gramza: Ingo, jesteś artystką sztuk wizualnych, terapeutką zajęciową i arteterapeutką. Jak te wszystkie dziedziny łączą się w Twojej twórczości?

Inga Falkowska: Moje podejście do sztuki jest mocno zakorzenione w psychoanalizie obrazu, co wpływa na sposób, w jaki tworzę i pracuję z ludźmi. Obecnie studiuję pedagogikę opiekuńczo-wychowawczą oraz poradnictwo rodzinne i pedagogiczno-psychologiczne, co pozwala mi łączyć sztukę z edukacją i terapią. Prowadzę również projekt edukacyjny w formie performansu artystycznego, który wpisuje się w moją specjalizację w sztukach wizualnych.

GG: Wspominasz, że słowo odgrywa kluczową rolę w Twojej pracy. W jaki sposób łączysz je ze sztuką wizualną?

Inga Falkowska: Słowo uzupełnia moje wizualne działania. Jest narzędziem narracyjnym i jednocześnie elementem, który pomaga odbiorcom personalizować sztukę. Dzięki niemu mogę wspierać rozwój osobisty, szczególnie młodych ludzi. Dlatego angażuję się w działalność literacką – wydałam dwie książki dla dzieci i młodzieży: *Kukiełkowe Przytulaski – Magiczne Boże Narodzenie* oraz *Kolorowe Motyle*, a także publikacje dla dorosłych, w tym *5 Dimensions*, zawierającą fotografie moich instalacji, oraz tomik poezji *Wiersze wybrane*.

GG: Jednym z Twoich projektów jest mobilny teatr edukacyjny Madlen Renarde. Skąd pomysł na takie przedsięwzięcie?

Inga Falkowska: Madlen Renarde powstał z myślą o arteterapii i jest skierowany do dzieci i młodzieży. Jego głównym celem jest stworzenie przestrzeni, w której dzieci mogą w bezpieczny sposób eksplorować i wyrażać emocje. W moich spektaklach dzieci aktywnie uczestniczą w przedstawieniu – przed każdym pokazem zachęcam je do wyobrażenia sobie elementów scenicznych, co pozwala im rozwijać kreatywność.

GG: Czy pamiętasz jakiś szczególny moment ze swoich występów, który zapadł Ci w pamięć?

Inga Falkowska: Oczywiście! Podczas jednego z pierwszych spektakli mały chłopiec zapytał: "Gdzie jest pociąg? " To pytanie skłoniło mnie do przemyślenia scenariusza i wprowadzenia zmian. Od tamtej pory dzieci są aktywnie zaangażowane w kreowanie świata przedstawienia – zamykają oczy, wyobrażają sobie elementy scenografii i przenoszą się w magiczny świat opowieści. Te interakcje sprawiają, że każde przedstawienie jest wyjątkowe.

GG: W Twoich spektaklach główną rolę odgrywają lalki. Jakie mają znaczenie dla dzieci?

Inga Falkowska: Moje pacynki i marionetki to nie tylko bohaterowie bajek – to także mentorzy. Każda postać ma swoją historię i pomaga dzieciom lepiej zrozumieć emocje. Główna bohaterka, Ginger, symbolizuje moje wewnętrzne dziecko. Dzięki niej tworzę most między światem dzieci a dorosłych.

GG: Tworzysz również lalki samodzielnie. Skąd czerpiesz materiały?

Inga Falkowska: Większość lalek szyję własnoręcznie. Staram się również wykorzystywać materiały recyklingowe – pacynki i marionetki pozyskuję w sklepach z drugiej ręki i nadaję im nowe życie. W ten sposób łączę sztukę z ekologicznym podejściem do twórczości.

GG: Twoje spektakle często są połączone z warsztatami. Jakie korzyści przynoszą dzieciom te zajęcia?

Inga Falkowska: Warsztaty pozwalają dzieciom na aktywne uczestnictwo w tworzeniu postaci i scenografii. To świetna okazja do rozwijania kreatywności, umiejętności manualnych i pracy w grupie. Dzieci mają możliwość personalizacji lalek, co wzmacnia ich poczucie sprawczości.

GG: Skąd wzięła się nazwa Madlen Renarde?

Inga Falkowska: Podczas zajęć z ekspresji twórczej dzieci zaczęły nazywać mnie „Lisicą" – czyli Renarde. Madlen to moje drugie imię w spolszczonej formie, inspirowane francuską Madeleine. Tak narodziła się nazwa mojego mobilnego teatru.

GG: Twoje książki były prezentowane w formie spektakli w różnych krajach. Jakie były reakcje dzieci i nauczycieli?

Inga Falkowska: Moje spektakle były wystawiane w szkołach polonijnych w Belgii i Holandii. Spotkały się z bardzo ciepłym przyjęciem zarówno wśród dzieci, jak i wychowawców. Wielu nauczycieli i rodziców podkreślało, że teatr pomaga dzieciom otworzyć się na emocje i rozwijać wrażliwość.

GG: Jakie są Twoje plany na przyszłość?

Inga Falkowska: Chciałabym dalej rozwijać Madlen Renarde i łączyć go z działaniami arteterapeutycznymi. Moim celem jest również prowadzenie zajęć z kreatywnej terapii, nad czym już teraz pracuję. Mam nadzieję, że moje projekty będą inspirować dzieci i dorosłych do odkrywania sztuki i emocji.

Grażyna Gramza: Dziękuję za rozmowę i życzę powodzenia w dalszej pracy! ■

Wina i czekoladki zapisane w DNA

Andrzej Skibniewski

W czerwcu 1992 roku w Rotterdamie oddano do użytku imponujący wieżowiec Weena Plaza. Mieściło się w nim Holland Casino, eleganckie sklepy, bary i restauracje. Od pierwszych dni istnienia obiektu byłem jego stałym gościem. Imponowało mi bardzo nowoczesne centrum miasta, budowanego na gruzach *średniowiecznych zabudowań*, zrównanych z ziemią podczas II Wojny Światowej.

Tuż przy wejściu do Ween'y mieścił się malutki sklepik. Zajmował on powierzchnię zaledwie paru metrów kwadratowych. Sprzedawał w nim starszy ode mnie, niewysoki, elegancko ubrany pan. Uwielbiałem to miejsce. Produkty były tam szczególnej jakości – sprzedawano tylko wina i czekoladki. Wina były sprowadzane z Węgier – nietypowego, jak na tamte czasy, miejsca do importu tak zwanych

Karpackie Towarzystwo Narciarzy
we Lwowie
pierwszy polski klub narciarski
Wkładka roczna 2 korony (wyłącznie niema).
Nakładem Towarzystwa wyszła świeżo z druku broszura
Romana Kordysa: NARTY I ICH UŻYCIE.
Skład główny w Księgarni Altenberga, Lwów, pl. Marackiego.
Stanisław Płoński
róg Akademickiej 4. Lwów, Chorążczyzna 6.
Adres: Stanisław Płoński
róg Akademickiej 4. LWÓW Chorążczyzna 6.

Fot. 1. Reklama sklepu Stanisława Płońskiego we Lwowie.

Fot. 2. Rodzina Stanisława Płońskiego podczas Wigilii we Lwowie. Od lewej moja babcia Halszka Albrechtowa z d. Płońska, jej mąż Jan Albrecht, ich córki Basia (moja mama) i Krysia. Z prawej moja prababcia i pradziadek Maria i Stanisław Płońscy z córką Stefanią des Loges (fot. Marian des Loges, 1931).

„consumer goods". Odradzające się w tych czasach kraje „demoludów", oprócz półproduktów z żelaza i stali oraz wyrobów tak zwanego rękodzieła artystycznego, niewiele miały Zachodowi do zaoferowania. Z jakiegoś jednak powodu cieszyłem się, że pochodzące z kraju, który był mi bliżej znany, deserowe tokaje przyciągają uwagę holenderskich klientów.

Ceny były stosunkowo wysokie, odpowiadające sprzedawanym na sztuki, ręcznie robionym czekoladkom. Pan zakładał białe *rękawiczk*i, wskazane pralinki pakował do eleganckich pudełek, które zawiązywał złot*ą* wstążką z kokard*ą*.

Klientów było sporo – czasami trzeba było czekać na zewnątrz, ponieważ wewnątrz mogły pomieścić się jedynie trzy osoby. Kolejka przypominała ogonek przed piekarnią w Polsce. Czekano cierpliwie.

Regularnie, prawie co tydzień, ustawiałem się przed sklepem, aby po odwiedzeniu pomnika *„De vervoeste Stad"*[1] zaopatrzyć się w luksusowe dobra na niedzielny wieczór.

Czekoladki były belgijskie. Pochodząca ze Szwajcarii rodzina Neuhaus przyjechała do Brukseli w połowie XIX wieku. Jak głosi historia, Jean Casanova, po zmianie nazwiska (które mogło się jakoś niekorzystnie kojarzyć) na Jean Neuhaus, rozpoczął studia medyczne w Grenoble. Nie ukończył ich głównie dlatego, że nietypowo dla lekarzy nie mógł znieść widoku krwi. W 1857 roku przeprowadził się do Belgii i osiedlił w Brukseli, gdzie następnie w prestiżowej Queen's Gallery otworzył swoją aptekę. Aby wyprodukowane przez niego pigułki były łatwiej przyswajalne dla klientów, Jean Neuhaus zanurzał je w czekoladzie. Lekarstwa były smaczniejsze. Lekarze chętniej wystawiali recepty, żeby farmaceuta miał z czego żyć, a wdzięczny aptekarz troszczył się o to, by przedstawicielom tak zwanej służby zdrowia powodziło się także w miarę dobrze. Pacjentów przybywało i wszyscy byli zadowoleni, łącząc pożytek dla zdrowia z przyjemnością delektowania się wspaniałą czekoladą. W 1912 roku jego wnuk, Jean Neuhaus Junior rozwinął ten pomysł i jako pierwszy w świecie stworzył nadziewane słodkim kremem pralinki.

Kilkadziesiąt lat później, gdy zainteresowałem się rodzinnymi historiami, natrafiłem na podobne ślady. Wiązały się one bardzo ściśle z węgierskimi winami, o szwajcarskich cukiernikach i ręcznie

[1] Pisałem o nim w poprzednim (Nr 1(121)/2025) numerze Sceny Polskiej.

kreowanych czekoladkach już nie wspomnę.

Mój pradziadek, który we Lwowie miał sklep ze sprzętem sportowym, pamiętając o starej zasadzie „w zdrowym ciele zdrowy duch" oraz *„two glasses a day keep doctors away"*[2] był także importerem wybornych win z Węgier. Były to tokaje, pochodzące z unikalnego pod względem tak zwanego *terroir*[3] regionu Abaújszántó. Co roku do Lwowa przyjeżdżali producenci tego trunku, a w spotkaniach połączonych z degustacjami brali udział liczni członkowie rodziny, przyjaciele i znajomi.

Moja mama i jej siostra uczestniczyły w tych spotkaniach, chociaż jako osoby małoletnie trunków kosztować nie mogły. Na pewno wiązało się to z poczuciem niesprawiedliwości, alienacji i dyskryminacji, ale w tych czasach bezstresowe wychowanie dzieci było w świecie osób dorosłych zupełnie nieznane.

Historia czekoladek sięga także szwajcarskich korzeni.

W połowie XIX wieku, podobnie jak do Belgii, także i do Polski przeprowadziło się kilka szwajcarskich rodzin, między innymi Cortesi, Spargnapani, Maurizio i Redolfi. Zamieszkali w Małopolsce – między innymi we Lwowie, w Tarnowie oraz w Krakowie.

Właśnie w Krakowie istniała już przy krakowskim Rynku słynna cukiernia, założona w 1836 roku przez Szwajcara Lorenzo Paganino. Pochodzący także ze Szwajcarii Parys Maurizio, po odbyciu praktyki cukierniczej we Lwowie, w tym samym roku przybył do Krakowa, gdzie w Kamienicy Kencowskiej w Rynku przy Linii A-B inny Szwajcar – Gaudenty Redolfi, prowadził cukiernię. Maurizio wszedł z nim w spółkę, a ich działalność była na tyle dochodowa, że pięć lat później zakupili całą kamienicę. Miejsce to szybko zyskało popularność, przede wszystkim dzięki doskonałym nalewkom i kandyzowanym owocom. Od 1875 cukiernię prowadzili Jan i Gustaw Maurizio. Bardzo zadbano o elegancki i modny wystrój lokalu. Charakterystyczne zdobienia szafek i półek, z elementami wykonanymi ze złoconego brązu, utrzymano w stylu późnego *Empire*[4]. Zdaniem Franciszka Kleina[5], urządzenia sklepowe cukierni „Redolfi" były

Fot. 3. Pierwsza córka mojego dziadka Alina Albrechtówna (fot. Archiwum A. Skibniewski).

najstarszymi i najpiękniejszymi, jakie zachowały się po wojnie w całej Polsce. Trzeba wspomnieć, że po wyborne pomadki regularnie udawał się tam sam Wielki Mistrz Jan Matejko.

Zupełnie przez jakiś przypadek mój dziadek, Jan Albrecht, w 1902 roku poślubił w Tarnowie dwudziestoczteroletnią, uroczą córkę szwajcarskiego cukiernika Paulinę Spargnapani. Rodziny Maurizio i Spargnapani były ze sobą bardzo blisko powiązane. Wkrótce na świat przyszła ich córka Alina. Paulina zmarła bardzo wcześnie, mając zaledwie 39 lat. Jan Albrecht ożenił się następnie z Halszką Płońską, która w 1923 roku urodziła moją mamę, stając się tym samym moją przyszłą babcią. Niestety, nie poznałem jej – zmarła w Krakowie wkrótce po zakończeniu wojny.

Z odnalezionej korespondencji wiem, że Alina przychodziła regularnie do Cukierni Maurizio – Redolfi, aby od Jana Maurizio odebrać pensję ojca, który po I wojnie światowej, jak wielu Galicjan został zesłany do Złotej Ordy.

I tak historia zatoczyła wielkie koło. Odwiedzam często Kraków, bywałem wielokrotnie we Lwowie… Za każdym razem czułem dziwny dreszcz emocji, wchodząc w lwowskiej kamienicy do klatki schodowej, której poręczy dotykała jako dziecko moja mama. Odkrywam tajemnice enologii, wytwarzam domowe nalewki, z których najbardziej doceniana jest znana na dawnych Kresach nalewka dereniowa.

Kilogram pralinek, które wyprodukowałem w ramach warsztatów kulinarnych w Tilburgu, zniknął w ciągu jednej przerwy

Fot. 4. Lokal Parysa Maurizio w Kamienicy Kencowskiej przy Rynku Głównym (1938) (fot. Narodowe Archiwum Cyfrowe).

w pracy w FUJIFILM. Nie zdążyłem nawet wytłumaczyć, skąd się one wzięły i ostrzec, że to była pierwsza produkcja czekoladek w moim życiu, której jakości tak do końca nie byłem pewien.

Sklepu z czekoladkami i węgierskimi winami w Rotterdamie już nie ma... Być może właściciel odszedł na zasłużoną emeryturę, a koszty najmu skutecznie odstraszyły jego potencjalnych następców.

Za to u nas bez zmian. Robimy swoje. Fundacja działa od 33 lat, kwartalnik wydajemy od 30 lat… Koszty wzrastają, a my po prostu nadal robimy swoje. Trzeba będzie to uczcić… Do zobaczenia na Jubileuszu!

Fot. 5. Przed sklepem w Opolu. Sprzedajemy czasami czekoladki, a gównie wyborne wina, m.in. węgierskie tokaje (fot. P. Weinert, 2023).

[2] Ang.: „dwa kieliszki dziennie trzymają lekarzy z daleka". Teza nie do końca potwierdzona, ale dodająca otuchy.

[3] *Terroir* (franc}. W winiarstwie termin określający zespół unikalnych czynników środowiskowych, takich jak na między innymi gleba, topografia, mikroklimat itp. Terroir ma duży wpływ na unikalny charakter wina, odróżniający go od win z innych obszarów.

[4] *Empire*: odmiana późnego klasycyzmu powstała we Francji w pierwszej dekadzie XIX wieku, podczas panowania Napoleona w Europie. Styl wzorował się na sztuce starożytnej Grecji, Rzymu i Egiptu.

5 Franciszek Klein (1882–1961), historyk sztuki, wykładowca Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Autor wielu fotografii i książek poświęconym m. in. historii Krakowa.

Smak i Kultura w Dworze Skrzynki

Instytut Skrzynki, to samorządowa instytucja kultury powołana przez Powiat Poznański w 2021 roku, która promuje dziedzictwo kulturowe i kulinarne regionu. Jego sercem jest XIX-wieczny **Dwór Skrzynki** (Skrzynki, gmina Stęszew), otwarty po rewitalizacji w lipcu 2023 roku.

Klasycznie i ze smakiem

Dwór Skrzynki to nowoczesny **ośrodek konferencyjno-szkoleniowy** z restauracją, barem i 27 pokojami noclegowymi. Do dyspozycji gości są również kuchnia grillowa, sauna i dworski park. Restauracja serwuje dania kuchni polskiej i wielkopolskiej, bazując na lokalnych produktach. To idealne miejsce na konferencje, imprezy firmowe oraz uroczystości rodzinne, takie jak wesela czy komunie.

Pokoje noclegowe są dedykowane gminom i miastom Metropolii Poznańskiej, prezentując ich herby i opisy turystyczne, a w pokojach znajdują się obrazy autorstwa Mikołaja Obryckiego z charakterystycznymi dla poszczególnych gmin obiektami. W przyziemiu dworu mieści się **„Galeria Skrzynki"** (fotografia) oraz **Sala Pamięci i Tradycji**, eksponująca pamiątki rodziny Ifflandów, pierwszych właścicieli dworu.

Kulturalne Lato w Dworze Skrzynki

Od początku 2025 roku Dwór Skrzynki stał się miejscem wielu wydarzeń kulturalnych. Odbyło się tu już kilkadziesiąt imprez, w tym: koncerty, wernisaże wystaw fotografii, spotkania literackie oraz z kolekcjonerami, seanse kina letniego, wieczory muzyczno-kulinarne, warsztaty arteterapeutyczne, a także warsztaty i konkursy kulinarne.

Pełny harmonogram wydarzeń oraz możliwość zakupu biletów na nadchodzące koncerty dostępne są na stronach: www.dworskrzynki.pl, www.instytutskrzynki.pl oraz na profilu Facebookowym obiektu.

Dwór Skrzynki (gm. Stęszew. pow. poznański) fot. arch. I.S.

Wybrane wydarzenia wakacyjne

- **21.07. – 03.08.2025**

II Międzynarodowy Plener Sztuki: „Za oknami Skrzynek. Dusze Drzew. Pamięci Leona Wyczółkowskiego"

W plenerze weźmie udział dziesięciu wybitnych artystów: Leszek Zegalski, Jan Żyrek, Maggie Szuszkiewicz (Niemcy), Sylwester Chłodziński, Robert Heczko, Waldemar Pawlikowski, Maria Dziopak, Artur Gepas, Monika Ślósarczyk i Anna Czyżykiewicz (komisarz pleneru).

Wystawa poplenerowa odbędzie się 2 sierpnia 2025 o godz. 18.00. Wstęp wolny.

- **26.07.2025 |19.00|**

WOLNA GRUPA BUKOWINA – Skrzynki pełne wspomnień

Wolna Grupa Bukowina, to zespół z ponad 50-letnią historią, którego piosenki są kultowe dla kilku pokoleń. W maju br. ZAIKS nagrodził zespół jedną z trzech nagród z okazji 100-lecia, co muzycy uznali za "wielkie wyróżnienie dla Wojtka Bellona i dla nas". W maju tego roku minęło również 40 lat od śmierci Wojtka Bellona.

- **02.08.2025 |19.00|**

ŻEBY SZCZĘŚLIWYM BYĆ – Koncert piosenek z repertuaru Anny Jantar i Wojciecha Skowrońskiego – wystąpi Grupa Szóstka

„Grupa Szóstka", składająca się z doświadczonych muzyków, z liderem Michałem Szóstkiem na czele i młodą wokalistką Anią Chwałczyńską, zaprezentuje przeboje Anny Jantar m. in. z albumu „Tyle słońca w całym mieście" oraz utwory Wojciecha Skowrońskiego, poznańskiego kompozytora i wykonawcy bluesa i rock'n'rolla.

- **03.08.2025 |18.00|**

TRIBUTE TO BREAKOUT w wykonaniu Break Night

Koncert poświęcony legendarnej grupie Breakout, która ponad 55 lat temu zrewolucjonizowała polską scenę muzyczną. Ich muzyka była "przełomem", ukazując prawdziwe problemy i uczucia, łącząc bluesa z podkarpackim zaśpiewem. Wykonanie wymaga profesjonalizmu, dlatego repertuar Breakoutu jest trudny do podjęcia.

- **09.08.2025 |19.00|**

OSTATNIE TANGO W PARYŻU – koncert Tria Wiesława Prządki

Wiesław Prządka, najlepszy polski bandoneonista diatoniczny, wraz ze Zbigniewem Wromblem i Rafałem Karasiewiczem, zabierze publiczność w emocjonalną podróż do Buenos

Jan Grabkowski – Starosta Poznański, Maestro Adam Makowicz i Jan Babczyszyn – Dyrektor Instytutu Skrzynk fot. arch. I.S.

„Dzień Otwartych Skrzynek" lipiec 2024 fot. arch. I.S

Aires i Paryża. W repertuarze znajdą się przeboje Edith Piaf, Joe Dassina, walce paryskie, muzyka filmowa Francisa Lai i Yann Tiersena, a także argentyńskie tanga Astora Piazzolli.

- **16.08.2025 |19.00|**

„4 pory roku" Antonio Vivaldiego – koncert Filharmoników Poznańskich

Wystąpi Olga Winkowska (skrzypce solo) oraz Kwintet smyczkowy Filharmonii Poznańskiej. Wydarzenie współfinansowane jest przez Samorząd Województwa Wielkopolskiego w ramach programu „Kultura w Drodze".

- **23.08.2025 |19.00|**

„Świecie nasz" – koncert piosenek Marka Grechuty w wykonaniu Zespołu ARETE

Zespół ARETE, z okazji 15-lecia działalności, zaprezentuje autorskie aranżacje ponadczasowych piosenek Marka Grechuty. W składzie: Jerzy Struk (śpiew), Marta Duchant (śpiew), Wiktoria Tokłowicz (skrzypce) oraz Dawid Troczewski (fortepian). Zespół zagrał ok. 600 koncertów w całej Polsce i wydał 12 płyt studyjnych.

- **30.08.2025 |19.00|**

Złote polskie przeboje na zakończenie wakacji – piosenki z repertuaru W. Młynarskiego, Sł. Przybylskiej i inne w wykonaniu Dominiki Dobrosielskiej

Dominika Dobrosielska, zwyciężczyni „Szansy na Sukces" i uczestniczka 61. Festiwalu w Opolu, zaprezentuje najpiękniejsze utwory polskiej estrady. Artystce towarzyszyć będzie pianista Michał Ruksza.

Łukasz Kuropaczewski (gitara), Maciej Frąckiewicz (akordeon), Bartek Miler (instr. perk.) podczas występu w Dworze Skrzynki w roku 2024 fot. arch. I.S.

Dominika Dobrosielska wystąpi w Dworze Skrzynki (plener) w dniu 23 sierpnia 2025 r. fot. Piotr Rychte

Smaki w Dworze Skrzynki

Restauracja Dworu Skrzynki czynna jest w każdą sobotę i niedzielę od godz. 12:00 oraz w piątki koncertowe od godz. 16:00. W niedzielne popołudnia gościom towarzyszy muzyka na żywo.

Dwór Skrzynki

- pl. Parkowy 1 |62-060 Skrzynki |gm. Stęszew |powiat poznański
- Rezerwacja stolików: tel. +48 691 838 221.
- Organizacja imprez okolicznościowych: tel.+48 533 123 174, e-mail: kontakt@dworskrzynki.pl.
- Organizacja szkoleń i konferencji: +48 690 321 169, e-mail: rezerwacje@dworskrzynki.pl.

Serdecznie zapraszamy!

Sum sum corda!

Marek Grądzki

Takie wypadki nie zdarzają się nam codziennie. No bo jak opisać fakt, gdy w progach naszego biesiadownika Linie w Ogniu zjawia się pan wędkarz i proponuje przyniesienie świeżo złowionego suma, który zajmuje mu cały bagażnik samochodu! Atrakcja nie lada i nie zdarzająca się codziennie. W naszej okolicy jest sporo pięknych i czystych jezior, w których bytują te drapieżniki. Gospodarz takiego akwenu musi pilnować, by mu się zbyt mocno nie rozpleniły, bo zagrożą nie dość że populacji bytujących tam ryb, to jeszcze mogą przetrzebić gniazdujące ptactwo wodne. Taki olbrzym ma swoje potrzeby i na człowieka nie zwraca większej uwagi. Tak więc pana przyjęliśmy z niezwykłą atencją odbierając rybę celem przerobienia jej w naszej ogniowej kuchni.

Najpierw został zręcznie oprawiony i podzielony w dzwonka, które przesolone powędrowały do chłodni. Ogłosiliśmy wszem i wobec przy pomocy Internetu, jaka atrakcja będzie czekała na naszych gości w nadchodzący weekend. Oddźwięk był natychmiastowy. Telefony. Maile sypały się niczym z rogu obfitości. Przyrządzenie tej ryby z bardzo delikatnym mięsem i małą ilością ości nie sprawiło nam specjalnej trudności. Stało się tak dzięki kulinarnym umiejętnościom Mojego Ślubnego Szczęścia oraz naszej specyficznej kuchni. Posiadamy bowiem prawo do używania w nazwie przydomku Kuchnia Historyczna. Gotujemy na żywym ogniu używając do tego już niemal zapomnianych angielek, zwanych również westfalkami. Tam patelnia stoi na fajerce i dostaje odpowiedniej temperatury nadawanej przez płonące drewniane szczapki. Najpierw lekkie przesmażenie, co zamyka pory nie pozwalając by smak i esencja wydostały się na zewnątrz, następnie buduje się sos przy pomocy masełka i leśnych grzybów. W drugim sposobie podania jest smażony na maśle. Szanowny Czytelniku, nawet pisząc te słowa na samo wspomnienie dostaję ślinotoku. Porcja suma do towarzystwa dostaje ziemniaczki świeżo wykopane z naszego pola, zgrillowane warzywa czyli młodą cukinię, która plonuje nam obficie, paprykę pokrojoną w paseczki i młodą marchewkę. Do tego w osobnym pojemniczku zdarza się ogórkowa mizeria. Takie danie to prawdziwa kulinarna poezja nie zdarzająca się codziennie.

Oczywiście marudy mogą stwierdzić, że przecież o co mi chodzi, często na rybnym stoisku

widują sumy. Nie wiedzą jeno, że to hodowlane, rosnące na sztucznej paszy w podgrzewanych zbiornikach sumy afrykańskie. Gdzie im tam do naszej zdobyczy ważącej 10-15 kilogramów wyłowionej z czystego jeziora, którego część objęta jest rezerwatem. Dlatego też Szanowny Czytelniku jeżeli Cię losy przypadkiem rzucą do Wielkopolski nie zapomnij o odwiedzeniu naszego biesiadownika Linie w Ogniu. W sobotę i niedzielę doznasz tu niesamowitych kulinarnych doznań niedostępnych w elektrycznych i gazowych kuchniach powszechnej gastronomii. Nie mówiąc już o tym, że nazwa zobowiązuje. Do nas nie wpada się jak po ogień, jeno delektuje się podanymi daniami i odpoczywa na łonie natury. ■

50. FPFF w Gdyni

22–27 września 2025 r.

W Konkursie Głównym znalazło się 16 filmów. Wśród nich jest 6 pełnometrażowych debiutów reżyserskich i 2 drugie filmy reżyserów. Są to:

- **„Brat”**, reżyseria: Maciej Sobieszczański, scenariusz: Maciej Sobieszczański, Grzegorz Puda, producenci: Dariusz Jabłoński, Violetta Kamińska, Izabela Wójcik
- **„Capo”**, reżyseria: Robert Kwilman, scenariusz: Robert Kwilman, Malwina Górecka, Kirk Kjeldsen, producentki: Malwina Górecka, Peter Sand Magnussen
- **„Chopin, Chopin!”**, reżyseria: Michał Kwieciński, scenariusz: Bartosz Janiszewski, producenci: Michał Kwieciński, Małgorzata Fogel-Gabryś
- **„Dom dobry”**, reżyseria i scenariusz: Wojciech Smarzowski, producenci: Janusz Hetman, Wojciech Gostomczyk
- **„Franz Kafka”**, reżyseria: Agnieszka Holland, scenariusz: Marek Epstein, Agnieszka Holland, producenci: Marcin Wierzchosławski, Sarka Cimbalova, Agnieszka Holland, Alicja Jagodzińska-Kałkus
- **„Klarnet”**, reżyseria i scenariusz: Tola Jasionowska, producenci: Adrian Skwiercz, Joanna Jankowska-Flis
- **„Larp. Miłość, trolle i inne questy”**, reżyseria: Kordian Kądziela, scenariusz: Kordian Kądziela, Michał Wawrzecki, producenci: Andrzej Papis, Maciej Sowiński
- **„Ministranci”**, reżyseria i scenariusz: Piotr Domalewski, producenci: Leszek Bodzak, Aneta Hickinbotham, Piotr Walter, Jarosław Jakubiec
- **„Nie ma duchów w mieszkaniu na Dobrej”**, reżyseria: Emi Buchwald, scenariusz: Emi Buchwald, Karol Marczak, producenci: Jerzy Kapuściński, Magdalena Tomanek
- **„Światłoczuła”**, reżyseria: Tadeusz Śliwa, scenariusz: Tomasz Klimala, Hanna Węsierska, producenci: Klaudiusz Frydrych, Inga Kruk, Agata Dybul
- **„Terytorium”**, reżyseria: Bartosz Paduch, scenariusz: Marcin Grabowski, Bartosz Paduch, producenci: Jacek Kulczycki, Paweł Jóźwik
- **„Trzy miłości”**, reżyseria: Łukasz Grzegorzek, scenariusz: Łukasz Grzegorzek, Krzysztof Balcewicz, Weronika Bilska, Natalia Grzegorzek, producentka: Natalia Grzegorzek
- **„Vinci 2”**, reżyseria: Juliusz Machulski, scenariusz: Juliusz Machulski, Robert Więckiewicz, producent: Zbigniew Domagalski
- **„Wielka Warszawska”**, reżyseria: Bartłomiej Ignaciuk, scenariusz: Jan Purzycki, Bartłomiej Ignaciuk, producentka: Alicja Grawon-Jaksik
- **„Zamach na papieża”**, reżyseria i scenariusz: Władysław Pasikowski, producenci: Klaudiusz Frydrych, Inga Kruk
- **„Życie dla początkujących”**, reżyseria: Paweł Podolski, scenariusz: Paweł Podolski, Lynn Kucharczyk, producentki: Anna Wereda, Alicja Gancarz ■

Kolonie

Alek Silber

Pociąg

Zawsze uwielbiałem podróże pociągiem. To się pewnie zaczęło w dzieciństwie, kiedy właśnie tak się podróżowało na kolonie. Na dworzec odprowadzał mnie zwykle tata. Na peronie dołączałem do swojej grupy i wraz z opiekunem wchodziliśmy do wagonu. On wprawdzie próbował nas trzymać pod kontrolą, ale już w korytarzu co szybsi wyrywali się i biegli do przedziału, aby zająć miejsce przy oknie. Nie zawsze wybieg ten kończył się powodzeniem, bo więksi lub silniejsi i tak wymuszali „swoje przywileje".

Zwykle podróż zaczynała się późnym popołudniem, trwała całą noc i dopiero rankiem dojeżdżaliśmy do celu. Po zajęciu miejsc i ułożeniu na półce walizek chłopcy skupiali się koło okna, gdzie rodzice z peronu rzucali ostatnie porady: „Pamiętaj o myciu zębów", „Nie chodź sam do lasu", „Pisz do mamusi". Ale my już myślami byliśmy gdzieś indziej i wdychając gęsty dym lokomotywy, czekaliśmy na gwizdek konduktora, syk pary i szarpnięcie wagonów. Długi, żelazny wąż mozolnie nabierał prędkości i dopiero kiedy zniknęły zabudowania dworca oraz składy, bocznice i jakieś nieokreślone budy, pociąg przyspieszał i w tym momencie zaczynała się nasza wielka przygoda.

Wielu chłopców znało się z poprzednich wyjazdów, więc był i Krasnal, i Wiewióra, niezastąpiony Czabogaj oraz tłuściutki Bociek. Po rocznej przerwie wiele było do opowiadania, były też wspomnienia, przypominanie niezwykłych przygód i drak. Kiedy pociąg już pędził przez pola i wymieniono najważniejsze wrażenia, zaczynało się ściemniać i ktoś sięgał po kanapkę. Wtedy, jak na komendę, otwierały się walizki i plecaki i z brązowych, papierowych torebek wyciągało się podróżne delicje. Kiedy pierwszy chłopak z dumą wyciągał kajzerkę z jajkiem na twardo i pomidorem, jakie było zdziwienie, kiedy okazywało się, że inni mają taki sam prowiant. Tylko w napojach panowała różnorodność: herbata, kompot, oranżada i lemoniada. Natomiast wszystkie butelki były z kapslem. Bez wyjątku. Bardziej doświadczeni szpanowali małymi solniczkami, ale ci należeli do wyjątków – zwykle sól znajdowała się w małym papierku i po paru umoczeniach pomidora zamieniała się w mokrą, różową grudkę. Oczywiście nikomu to nie przeszkadzało: była ferajna, jechaliśmy na kolonie i nic nie było w stanie zakłócić naszej radości. Słodycze, jeśli ktoś takowe posiadał, nie ukazywały się po posiłku. Oznaczałoby to dzielenie się z siedmioma kolegami, a nasza przyjaźń nie sięgała aż takich wyżyn.

Uzupełnione zapasy energii musiały gdzieś znaleźć swoje ujście, toteż zaczynały się przekomarzania, szturchania, papierowe torebki zmieniały się w twarde kule i w tej formie leciały przez przedział. Potem do akcji wkraczali chłopcy o bardziej łobuzerskich skłonnościach, a tacy zwykle się zdarzali. Otwierali oni okno i tym, co pozostało po jedzeniu, rzucali w mijane obiekty: w szlaban, w furę na przejeździe, w budkę dróżnika albo i w niego samego. Jajko, pomidor czy papierowa kula nie stanowiły poważnego zagrożenia, gorzej było z butelkami. Na szczęście nigdy nie trafiały. W czasie takiej akcji często wkraczał do przedziału wychowawca. Padały groźby odesłania do domu, powiadomienia rodziców i podobnych sankcji. Wprawdzie nigdy nie dochodziły one do skutku, ale nastawał spokój, zamykano okno i grupa szykowała się na noc.

Był to mój ulubiony moment podróży. Walizki ściągaliśmy na podłogę, a sami układaliśmy się na ławkach i półkach na bagaże, po dwóch na każdej, „na waleta". Zawsze wybierałem górną półkę; wprawdzie była ona węższa i nieco pochyła, ale był z niej lepszy widok. O glorio młodości! Czy komuś przeszkadzało, że półki były wąskie i drewniane? Czy ktoś narzekał? Czy ktoś to w ogóle zauważał? Wychowawca przechodził wzdłuż przedziałów i po kolei gasił światła, pozostawiając jedynie małe, zielone światełko pod sufitem. Jeszcze było trochę rozmów, parę szeptów, ale stopniowo i te cichły. Następowała m o j a chwila!

Tu-du-tu-du, tu-du-tu-du, tu-du-tu-du... – stukały koła i tylko czasami przejazd przez most lub tunel mącił ich równy rytm. Albo gwizd lokomotywy. Albo pociąg pędzący w przeciwnym kierunku. Po czym znowu powracało równe tu-du-tu-du, tu-du-tu-du, tu-du-tu-du. I łagodne kołysanie. I światła za oknem: a to zagubiona latarnia, a to światełka w oknach odległych domków albo senny semafor. Potem znowu ciemność, w niej migające cienie traw, krzaków albo zygzaki sąsiednich torów. Od czasu do czasu ukazywała się chmurka dymu z lokomotywy, a za nią wór iskier. Powiadają, że noc to czas złodziei i kochanków. A przecież nie tylko. Ciemność to woal intymności i marzeń, wehikuł wyobraźni i poetyckiego rozkojarzenia. Zwłaszcza w pociągu pędzącym przez nocną krainę cienia, bladego księżyca i zagubionych gwiazd na niebie. W takiej chwili nie myślałem o niczym. Patrzyłem. Słuchałem. Cały byłem upojeniem. Cały byłem chwilą. Moją chwilą. Niestety krótką, bo niedługo później zasypiałem, niedane mi było czerpać z niej pełną garścią, Morfeusz pochłaniał resztę...

Poranki

Poranki były czasem aktywnych zajęć: gry w piłkę, podchodów, wycieczek, łowienia ryb, zbierania malin. W niektórych okolicach leżały jeszcze w lasach niedopałki z czasu wojny. Często powtarzano nam, żeby ich nie ruszać, nawet się do nich nie zbliżać. Na szczęście nie było żadnych nieszczęśliwych wypadków.

Często szliśmy gdzieś na wycieczkę, zwykle szosą, czwórkami. Nie pomnę, po co i dokąd tak maszerowaliśmy, ale doskonale pamiętam towarzyszące nam piosenki: o szarej piechocie, o szumiących wierzbach, o pani wojence, o ułanach pod okienkiem, ale także i o stokrotce i wędrującym harcerzu. Repertuar marszowy zdawał się nie mieć końca. Piosenki dodawały nam otuchy. Gdy śpiewaliśmy, czas prędko płynął i nie czuło się zmęczenia.

Idąc tak przez wsie, napotykaliśmy różne dziwne zjawiska, na przykład sklepy GS (Gminna Spółdzielnia). Miały one swoisty wygląd, klimat, a przede wszystkim zapach, bo to on pierwszy uderzał wchodzącego: była to mieszanina szarego mydła, proszku do czyszczenia (czegoś) i żelastwa. Widok grabi, kubłów, mioteł i sztab mydła nie rozbudzał w dwunastolatkach szczególnych pasji. Błąkaliśmy się więc bezwiednie pomiędzy łopatami i proszkami do prania. Ktoś kupił lizaka, inny zadał jakieś głupie pytanie ku radości kolegów i złości sklepikarza.

Tylko czasem zdarzała się niezwykła okazja: wszyscy rzucali się na ladę i namiętnie kupowali... książki. No może książeczki. Były cieniutkie, drukowane na bardzo kiepskim papierze, z wyblakłą okładką i paroma ilustracjami. Często były napisane w języku rosyjskim, którego oczywiście nikt nie znał. Nikt nie zwracał uwagi na tytuły czy treść tych lektur. Można by więc zapytać, na czym polegała ich atrakcyjność. Mówiąc delikatnie, były bardzo tanie: za złotówkę można było kupić trzy albo i pięć książeczek. Po co nam to było i jaki los spotykał te

„okazje"? Większość kończyła w śmieciach. Może tylko niektóre dotarły do domów – jako prezenty, bo mieliśmy silne poczucie, że z kolonii należy przywieźć coś rodzicom. Poza lekturami przywoziło się bardzo trudny do pakowania i nielegalnie zrywany oset górski albo popularne „przetwory". Uzbierane maliny wkładaliśmy do butelek, zasypywaliśmy cukrem, potem korkowaliśmy i stawialiśmy je na oknie w słońcu. Oczywiście po kilku dniach przetwory fermentowały, a butelka wybuchała, zalewając najbliższe łóżka. Często też w oknach suszyły się na nitkach grzyby. Niestety i te kończyły w kuble, bo rodzice nie mieli przekonania do naszej nieomylności w wyborze leśnych łakoci.

Zabawa w podchody zawsze cieszyła się popularnością. Był tu element konkurencji, przygody i radość z bycia z kolegami w lesie. Co chwila rozlegał się okrzyk radości, ktoś zauważył kolejną strzałkę. Potem wskazówka na ukryty w zaroślach list. Często schowany był w przemyślny sposób: pod listkiem, w szczelinie drzewa, w dziupli. Wreszcie dochodziliśmy do celu, a wracając do domu, dzieliliśmy się wrażeniami, chwaliliśmy lub też krytykowaliśmy drugą drużynę.

Jedną z największych atrakcji turnusu kolonijnego było ognisko. Zwykle miało ono miejsce pod koniec pobytu, ale zdarzały się także ogniska dodatkowe, na przykład w sąsiedniej kolonii. Do ogniska przygotowane były występy, głównie piosenki i skecze. Nie wiem, skąd się brały teksty na skecze, ale było ich mnóstwo. Wychowawca przyjmował rolę reżysera, wybierał „artystów", teksty, prowadził próby. Reszta siadała wokół „sceny" i miała dobrą zabawę.

Popołudnie

Czas między obiadem a podwieczorkiem, niczym w sanatorium, przeznaczony był na odpoczynek. Jednak nim do niego doszło, znaczna część gromady udawała się zaspokoić zew natury. Na jednej z kolonii było to nad wyraz kłopotliwym wyzwaniem, bo toalety były brudne i śmierdzące. W związku z tym przyjął się zwyczaj „chodzenia w krzaki". Niestety, i ten wariant nie zdał egzaminu. Po kilku dniach kierownictwo turnusu oznajmiło na apelu wieczornym, że zauważono nagminne rozsiewanie „wianków", co było absolutnie niedopuszczalne i od teraz zakazane. Nie pamiętam, jak ten nakaz egzekwowano i czy poskutkował. Powróćmy więc do popołudniowego odpoczynku.

Pierwsza godzina, czyli cisza poobiednia, wymagała pozostawania na swoich łóżkach i zachowania ciszy, następnie zaczynał się czas wolny. W tym wieku mało kto sypiał lub czytał, najczęstsze były gry, oczywiście pod warunkiem, że można w nie było grać na łóżku. Dwie z nich dominowały: ciupy i karty. W ciupy grało się pięcioma kamieniami podrzucanymi do góry i chwytanymi w różnych konfiguracjach. Zwykle każdy miał w kieszeni swój zestaw pieczołowicie dobranych kamyków.

Z kartami sprawa była bardziej skomplikowana. Często ich używanie było zabronione i przechodzący przez salę wychowawca zabierał talię i zwracał ją na zakończenie turnusu. Jednak dla młodych hazardzistów nie stanowiło to problemu. Wyrywaliśmy z brulionu kartkę w kratkę, rozcinaliśmy na małe karteczki i oznaczaliśmy odpowiednimi znakami. Z samą grą jakoś sobie radziliśmy, gorzej było z tasowaniem kart. Bardziej zawzięty wychowawca i tę „talię" zabierał. Trzeba było wyrywać więcej kartek z brulionu.

W czasie wolnym każdy robił, co chciał. Jedni pisali listy do domu, inni grali w piłkę, w zośkę albo w pikuty. Był to też czas na rękodzielnictwo. Ci, którzy posiadali scyzoryki, a był to pewien wykładnik statusu, strugali. Z kory robiło się łódki i spławiki do wędki. Z młodych gałązek wycinało się najprzeróżniejsze cuda: gwizdki, fujarki, fajki (chociaż nikt ich nie używał) oraz ozdabiane patyki, często o bardzo strojnych wzorach. Z gęsich piór także robiło się spławiki. Zresztą robiliśmy całe wędki, potrzebna była żyłka i haczyk, resztę robiło się własnym sumptem: kawałek ołowiu, wspomniany już spławik, no i kij.

To właśnie czas wolny stał się przyczynkiem do pewnego ważnego wydarzenia. Podczas naszych gonitw po terenie ktoś odkrył strych, niby nic osobliwego. Stały tam stare krzesła, wieszaki na ubrania, drewniane kijki do nart, zakurzone lustro z przewieszonym szalem boa...

Jednak okazało się, że głównym obiektem naszych zainteresowań były... liście, sterta suszonych liści. Kto je tam zatargał i po co? Nikt nie wiedział i nikogo to nie interesowało. Dopiero starsi koledzy uświadomili nam niezwykłe znaczenie znaleziska. Bo jeśli się przyniosło kawałek gazety i zapałki... Jeśli się w ręku skruszyło liście na miał, jeśli zawinęło się je w gazetę i podpaliło, to wychodził z tego... papieros. Nie był on łatwy w użyciu: gruby, rozpadający się w ręku, zapalony błyskał płomieniem, potem przygaszony dymił, powodując ataki kaszlu. Taka była cena dorastania.

Zdarzało się, że w czasie wolnym wyrównywane też były porachunki. Grupa chłopców ma swoją dynamikę i hierarchię. Wszyscy bardzo szybko orientują się, kto jest silniejszy, kto z racji swojej słabości usłużny, a kto się trzyma na uboczu. Raz ustalony porządek pozostaje niezmieniony, chyba że...

Na jednym ze śniadań Krasnal wyciągając rękę i przechylając się na drugą stronę stołu, poprosił siedzącego na przeciwko Kazika, żeby nalał mu do kubka kawę. Kazik spełnił prośbę, ale po napełnieniu kubka lał dalej, wylewając gorący płyn na rękę

Krasnala. Ten odruchowo, czy też ze złości, chlusnął kawą na Kazika. Jedynie dzielący ich stół zapobiegł bójce. Kazik pienił się ze złości, ale zważywszy na siedzącego niedaleko wychowawcę, powiedział, że porachuje się po południu, za budynkiem.

Takie porachunki były rzadkie, toteż cała grupa z niecierpliwością czekała na popołudniowy spektakl. Kazik był jednym z silniejszych chłopców, wszyscy więc z obawą patrzyli na Krasnala. Były nawet szepty, że gdyby miał zostać zbity na miazgę, to przerwiemy walkę. Nie wiadomo, co myślał Krasnal, z natury był raczej spokojny i musiał się bać silniejszego przeciwnika.

Po ciszy poobiedniej grupa wybiegła za budynek, zrobiło się małe koło z dwoma walczącymi pośrodku. Nie był to boks ani zapasy, coś mieszanego. Krasnal walcząc z pozycji słabszego, widocznie czuł, że nie ma nic do stracenia, więc pierwszy ruszył na przeciwnika – niezbyt umiejętnie, może niesprawnie, ale z dużym impetem. Pewny siebie Kazik był tak zaskoczony, że nie potrafił stawić odpowiedniego oporu i po krótkiej walce zszedł z pola bitwy przegrany. Chłopcy aż zaczęli klaskać, czego się normalnie nie praktykowało. Było to jednak wydarzenie nadzwyczajne, jeszcze przez wiele dni komentowane z podziwem. Odtąd nastąpiła kompletna zmiana w relacji dwóch chłopaków. Mniejszy wzrostem Krasnal górował nad Kazikiem i chociaż był to zaledwie drobiazg w dynamice grupy, to pozostawił swój ślad.

Capstrzyk

Po kolacji dzień dobiegał końca. Był jeszcze apel wieczorny i mycie. Z tym różnie bywało. Na lepszych koloniach do dyspozycji były prysznice, ale mnie jakoś utkwiły w pamięci korytka i krany z zimną wodą. Należało się myć do połowy, a potem nogi – podnosząc je kolejno do korytka. Nie wszystkim się zawsze chciało, zwłaszcza te nogi. Wychowawcy toczyli z tym walkę poprzez nocne „naloty". Leżącym już w łóżkach chłopakom podnosili kołdry i świecąc latarką, sprawdzali stopy. Właściciele brudnych stóp musieli biec do kranów, często w zimny wieczór, aby higienie stało się zadość.

Wreszcie, kiedy już wszyscy wrócili do swoich łóżek i pogaszone były światła, zaczynało się nocne życie sali. Zresztą bardzo bogobojnie, bo wszyscy jak na komendę wyskakiwali z łóżek, klękali i w ciszy odbywała się modlitwa. Po części oficjalnej następowała „część artystyczna", czyli rozmowy i opowieści – częściej to drugie. Ulubione tematy stanowiły historie o duchach, o cudach, wszelkiego rodzaju telepatiach, wydarzeniach nadprzyrodzonych. Zdawało się, że każdy był świadkiem jakiegoś cudu, zmartwychwstania, wyjścia z grobu albo wpadnięcia do niego, a co najmniej słyszał o takim zdarzeniu.

Najlepszym gawędziarzem był bez wątpienia Krasnal. Skąd znał tyle historii? Gdzie się ich nauczył? Nikt nie wiedział, on pewnie też nie. Miał także swoją rutynę. Lubił przyjść do kogoś do łóżka. Oczywiście bez żadnych podtekstów, po prostu dla bliskiego towarzystwa. Kiedy się już wygodnie ułożył, wyjmował papieroska, zaciągał się parę razy, oczywiście pod kołdrą, i zaczynał swoją opowieść.

Na jednej z kolonii mieszkaliśmy nieopodal cmentarza, padały więc zakłady o to, kto wybierze się tam o północy i stanie na rękach, opierając nogi o nagrobek. Jakoś nikt nigdy nie poszedł, chociaż temat ciągle powracał. Szeroko komentowano natomiast przygodę pewnego staruszka, który przechodząc chmurną nocą przez cmentarz, zahaczył płaszczem o wystającą gałąź, przestraszył się, upadł i już nigdy nie wstał.

Drugim po horrorach tematem były filmy albo książki. Jeszcze wtedy nie interesowały nas filmy od osiemnastu lat ani zawarte w nich „momenty". Panował natomiast popyt na kryminały, ewentualnie historie o Indianach i kowbojach. Oczywiście nikt nie opowiadał o Winnetou czy Sherlocku Holmesie – wszyscy znali te lektury. Tylko czasami padało słowo „dziewczyny". Pamiętam pewien znamienny dialog. Tyka, jeden ze starszych chłopaków, z podnieceniem w głosie zapytał: „A co by tak było, gdyby każdemu dali do łóżka dziewczynę? ". Na co mniej doświadczony życiowo Bociek odpowiedział: „Ale bym jej koca spuścił" (znaczy: kocówę). Z dziewczynami było jeszcze parę przygód.

Niedaleko naszej męskiej, a raczej chłopięcej kolonii znajdowała się kolonia dziewcząt. Na jednym z wieczornych apeli oznajmiono, że zostaliśmy zaproszeni tam na ognisko, które odbędzie się za dwa tygodnie. Odtąd stało się to tematem wieczornych rozmów. Starsi pouczali, jak się z dziewczynami obchodzić, co im mówić, jak delikatnie obejmować, żeby nie przestraszyć. Inni ostrzegali, żeby nie startować do tych najładniejszych, bo są dumne i nieprzystępne; brzydsze są chętniejsze. Potem przeszliśmy do praktycznej strony: stare wygi obozowe polecały długie spodnie i koszule, bo komary sieką, co zakłóca romantyczność. Atmosfera stawała się coraz gorętsza. Na tydzień przed imprezą w czasie wolnym rząd chłopaków stał w kolejce do korytek – wszyscy prali koszule i skarpety (mydłem w zimnej wodzie). Pod każdym materacem „prasowały się" długie spodnie.

Wreszcie nadszedł wyczekiwany dzień. Zaraz po podwieczorku wszyscy zaczęli wyciągać najładniejsze koszule, bluzy i „uprasowane" spodnie spod materaców. Byłem już ubrany i zakładałem wyjściowe skarpety, kiedy okazało się, że mam tylko jedną. Zacząłem pospiesznie szukać tej drugiej: w walizce, pod poduszką, w butach – nie było. Chłopaki z sali już pobiegli do autobusu, a ja desperacko szukałem: pod łóżkiem, pod sąsiednimi łóżkami. Z dołu usłyszałem nawoływania kolegów. Wywaliłem na podłogę całą walizkę, z łóżka zrzuciłem pościel, aż nagle usłyszałem warkot silników. Kiedy odjechali, zrzuciłem na ziemię czystą koszulę, odprasowane spodnie, zdjąłem skarpetkę i w tym momencie myślałem, że się zastrzelę. Pod nią była ta druga.

W kolejnej przygodzie z dziewczynami też... nie ma dziewczyn. Rzecz działa się na zimowisku w górach. W owym czasie miasteczko dzieliło się na dwa obozy: chłopaki z północy regularnie bili się z rówieśnikami z południa. My przyjezdni nie znaliśmy przyczyny, ale wiedzieliśmy, że nasz budynek leży w północnej części miasteczka, i nie angażowaliśmy się w lokalne konflikty. W naszej grupie średni wiek wynosił około trzynastu lat, ale nie wiadomo skąd znalazł się też chłopak chyba szesnastoletni. Nie dość, że był od nas znacznie starszy, to był również bardzo wysoki, wyglądał przy nas jak sterczący patyk na łące. Nie na darmo nazywaliśmy go Tyką.

Wiedzieliśmy, że Tyka ma na południu dziewczynę, którą odwiedza – zwykle w ciągu dnia, co nie stanowiło niebezpieczeństwa. Ale pewnego razu zrobiło się już ciemno, a Tyki nie było. Zaczęliśmy się martwić, bo właśnie wieczorem zaczynały się miejscowe rozróby. Niewiele myśląc, wyruszyliśmy na pomoc. Każdy chwycił, co znalazł: gruby kij, duży kamień, kawałek blachy, i ławą ruszyliśmy „na odsiecz". Idąc szybkim krokiem, zajmowaliśmy całą szerokość szosy. Nastrój, który panował, był tak naładowany butą, odwagą, nawet agresją, że gotowi byliśmy sprostać największej sile wroga. Przynajmniej tak czuliśmy. Byliśmy młodzi i dopiero po latach zrozumieliśmy, co to jest psychoza tłumu, atmosfera gangu.

Wytężaliśmy wzrok do bólu, wypatrując w ciemności wysokiej sylwetki Tyki. Nie pamiętam, jak długo trwał ten marsz, bo wypełniony był deklaracjami walki, planami ataków, jakie były przygotowane na przeciwników, pogróżkami, przyrzeczeniami bezpardonowego traktowania wroga i woli zemsty, gdyby Tyce miało się cokolwiek stać. Cały świat, niczym ośnieżona szosa, leżał u naszych stóp. Jaka była nasza radość i zdziwienie Tyki, kiedy się spotkaliśmy. „A wy co tu robicie? " – zapytał. „My tu po ciebie, żeby ci południowcy nie dołożyli" O dziewczynie nikt nie wspomniał.

Śpiewnik Wywroty

nie tylko dla wywrotowców

spiewnik.wywrota.pl

Google Play App Store

NOWY TOMYŚL

Park im. Feliksa Szołdrskiego - Nowy Tomyśl
15 sierpnia 2025 /piątek/

XXV JUBILEUSZOWY
Światowy Przegląd Folkloru

INTEGRACJE 2025

W rytmie...

godz. 17:15 – warsztaty ludowe dla dzieci

godz. 17:30 – koncert

INTEGRACJE

OŚRODEK KULTURY NOWOTOMYSKI NOK

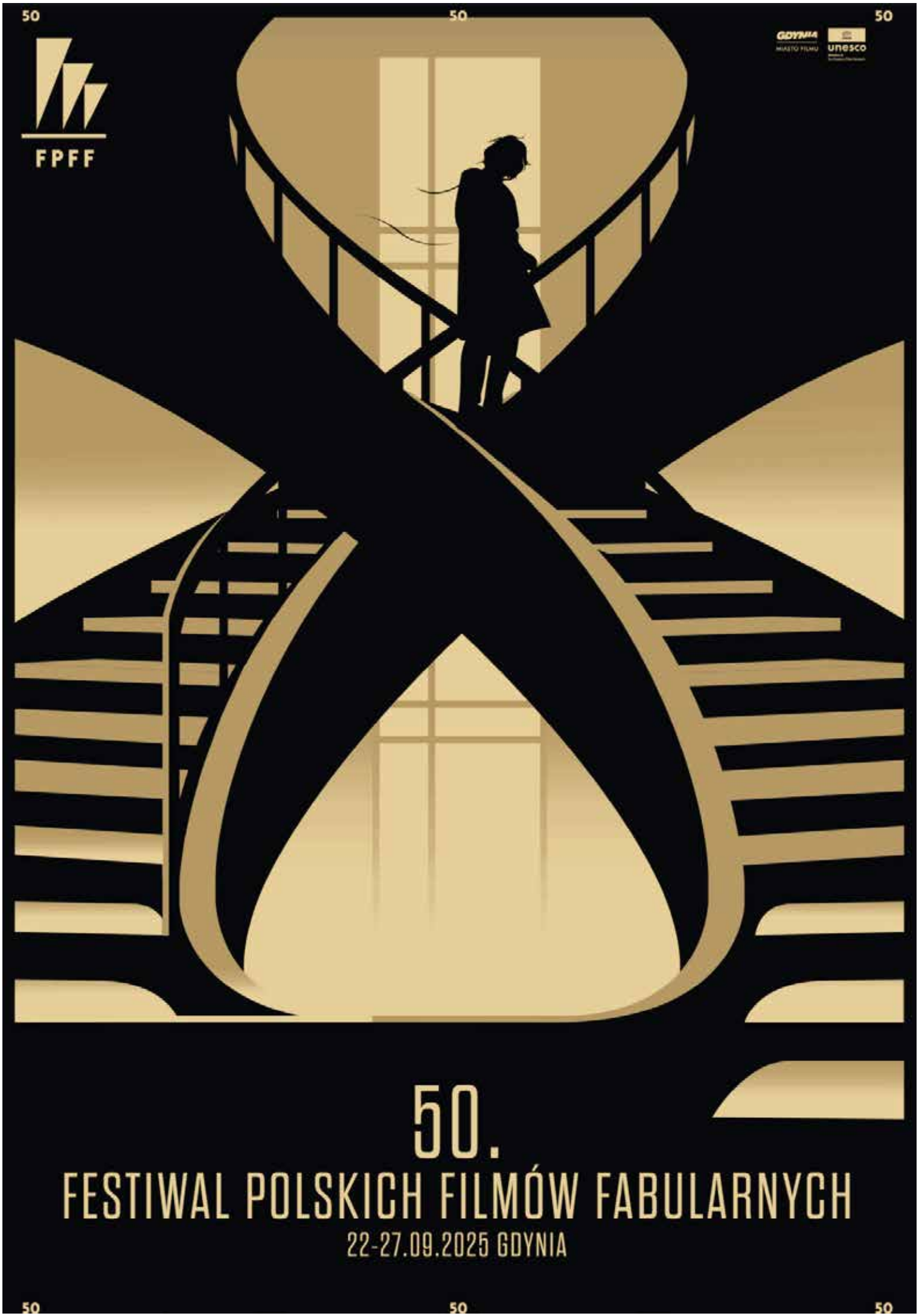
50
50
50
FPFF
GDYNIA
MIASTO FILMU
unesco
50.
FESTIWAL POLSKICH FILMÓW FABULARNYCH
22-27.09.2025 GDYNIA
50
50
50